

Co działo się w naszym kraju w latach 1968-1989? Wiecie? To znaczy, że nic nie wiecie. A to oznacza, że musicie się dowiedzieć. Bo był to czas trudny, bo był to czas survivalu, bo był to czas ludzi niepokornych. Wobec wszystkiego i wszystkich.

To oni nie dojeżdżali na protesty przeciwko protestom.

To oni nie słuchali Wolnej Europy i Głosu Ameryki.

To oni czynem walczyli z brakiem papierosów.

To oni wspierali wolny handel.

To oni zarzynali bezprawnie świnie.

To oni tworzyli obraz świata, jakiego nie znajdziecie na łamach popularnych tabloidów, w podręcznikach do historii, książkach wielkich autorów i filmach nominowanych do Oscara.

W książce Grażyny Kuleszy Szypulskiej odnajdziecie rzeczywistość starannie ukrytą przed historią, wnukami i szwagrem. To prawdziwe podziemie najnowszej historii Polski.

Pochylcie się nad nim...

Polska się do Was uśmiecha.

Grażyna Kulesza Szypulska

## **Żyłam sobie w PRL-u....**

spis treści:

Prolog

1. 1968

Wstęp, którego mogło nie być, ale od czegoś zacząć trzeba.

Twierdza Wrocław

Migdałki ocalone

Meksykańska pałeczka

2. 1970

Pomroczność ciemna

3. 1974

Bierzmowanie

Wakacje

4. 1976

Wyjazd niekontrolowany

Kawa z Bogatyni

5. 1978

Partia

Zapis emerytalny

6. 1980

Rok urodzaju

Pociąg przyjaźni

Bez piwa w plecaku

7. 1980/1981

Z papierosem przy secie

W rytmie disco

8. 1981  
Armia  
Wojna  
9. 1982  
Świniobicie  
10. 1989  
Ostatnie takie wczasy  
Epilog – 2019

## **1968**

### **Wstęp, którego mogło nie być, ale od czegoś zacząć trzeba**

1968 to był pierwszy rok, w którym zakumałam, że jest coś takiego jak polityka. Byłam wtedy dojrzałym dzieckiem, co prawda jeszcze przed komunią i zegarka nie miałam, ale coś mi się pod czaszką już jarzyło. Osiągnęłam jako taką świadomość społeczną, chociaż jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że żyję w dziwnych czasach. W tym też roku powstała w naszej rodzinie legenda, którą powtarzano z pokolenia na pokolenie...

No dobra, ja póki co powtarzam, bo nowe pokolenie boi się powtarzać. Wiadomo, kiedyś była cenzura, teraz też jest, tylko w zależności od rządzącej partii inaczej się nazywa. Najczęściej bywa nazywana łamaniem standardów przyzwoitości lub obrażaniem uczuć religijnych.

### **Twierdza Wrocław**

Styczeń i luty 1968 roku był tradycyjny, jak to ongiś, tuż po potopie bywało. Napadało śniegu, chodziliśmy na sanki na nasze podwórze, które zmieniało się w niesamowity tor saneczkowy. Zjeżdżaliśmy z niewielkiego wzgórza. Czasami pojedynczo, czasami tworzyliśmy pociąg łącząc ze sobą kilka sztuk drewnianych sanek.

Potem przyszedł marzec. Też taki całkiem normalny, jak za socjalizmu bywało. Dzień był dłuższy i cieplejszy, a mama pozwalała czasami zdjąć zimową czapę robioną na drutach i włożyć na głowę bawełnianą chustkę.

Z saneczkowego wzgórza powoli, nieśmiało ruszały drobne strumyki topiącego się śniegu. W piwnicy było coraz mniej kartofli i pustych słoików po owocowo – warzywnych przetworach.

Tego jednak roku w marcu rodzice często powtarzali jedno słowo – dziady.

Zupełnie mnie się to słowo nie podobało. Nie miałam bladego pojęcia, co tak właściwie oznacza. Pojęcie „dziad” oczywiście znałam. To taki stary, zgarbiony, zarośnięty, śmierdzący facet, w brudnym ubraniu i tobołkiem na kiju przewieszonym przez ramię. Tę definicję skonsultowałam z koleżanką, w domu której rodzice też mówili o dziadach. Jej zdaniem chodziło o dziadów zebrzących pod kościołem.

Nie znaliśmy ani jednego, ani drugiego typu dziada. Same byłyśmy nawet zdziwione, skąd w naszych umysłach wzięły się takie wizerunki. Pewnie był to wpływ socjalistycznej telewizji, jeszcze wówczas w Polsce w powijakach.

W końcu zapytałyśmy rodziców, co to za „dziady”. Każda otrzymała taką samą odpowiedź - „Dziady” napisał Mickiewicz. Tak samo jak „Lokomotywę” Tuwim.

I tak oto od słowa do słowa zapoznałyśmy się z bieżącymi wówczas wydarzeniami politycznymi. Otóż w Krakowie, drugiej stolicy Polski – w drugiej klasie podstawówki już tego uczono – w teatrze, na scenie pokazano owe „Dziady”. Nie spodobały się one rządzącym sekretarzom ani przedstawicielom bratniego narodu zza Buga i wcale nie była to Białoruś, tylko Związek Socjalistycznych Republik Radziecki, w skrócie ZSRR lub pisane cyrylicą СССР, co z kolei w luźnym tłumaczeniu na alfabet łaciński było skrótem od Cep Cepa Cepem Pogania.

„Dziady” zdjęto z afisza czyli zakazano pokazywania na scenach całej Polski.

Postawa sekretarzy i braci zza Buga nie spodobała się z kolei studentom, i to w całej Polsce.

Podnieśli więc bunt przeciwko postawie tych pierwszych. Demonstrowali, manifestowali, krzyczeli, okupowali uczelnie, przestali się uczyć.

W kraju zrobił się bajzel.

Pierwsi, czyli ci u władzy, postanowili zrobić z młodymi porządek. Wygłosili kilka płomiennych przemówień, w których o zaistniałym bałaganie oskarżono element wrogi, czyli obcy z ludnością pochodzenia żydowskiego na czele.

Takiej ludności wręczano bilet w jedną stronę i kazano zrobić wypad z Polski.

W tym momencie w moim domu nikomu nie było do śmiechu. Moi rodzice pożegnali w ten sposób grupę bardzo dobrych znajomych, z którymi budowali zręby polskość na Ziemiach Odzyskanych po 1945 roku.

I dalej też nie powinno być do śmiechu. Bo oto pierwsi sekretarze postanowili uciszyć zbuntowanych studentów przy pomocy klasy robotniczej jako przewodniej siły narodu.

Do miejscowości, które były siedliskiem zarazy zwanej studentem, czyli tych dużych, wysyłano robotników z przodujących zakładów pracy. Robotnicy, pod kierunkiem tajnych pracowników aparatu bezpieczeństwa, organizowali spontaniczną pikietę nawołującą młodzież do opamiętania się. „Studenci do nauki” - krzyczeli w telewizorze w Warszawie. „Literaci do pióra” - wtórował Kraków.

I tak sobie co jakiś czas jeździły te robotnicze delegacje na gościnne występy do wielkich miast, a koledzy tych, co jechali popierać niejakiego towarzysza Wiesława, zasuwali przy maszynach podwójnie i nawet plan produkcji przekraczali.

I tak oto wreszcie, któregoś dnia buntu młodych los padł na zakład pracy mego ojca.

Tato jak zwykle przyszedł z pracy ok. 15.30. Na szeroki parapet położył swą roboczą torbę, zwaną

„aktówką”. Wymył ręce pod kranem z tylko zimną wodą i usiadł przy stole w dużej kuchni (nie, nie był to żaden salon z aneksem kuchennym, to była normalna kuchnia) na krześle ustawionym tyłem do okna. Popatrzył na rodzinę, policzył, czy wszyscy są, obrócił się do okna. Z parapetu zdjął aktówkę i wyciągnął gazetę.

Mama postawiła przed nim talerz z pomidorową, bo wczoraj był rosół.

- Dlaczego z makaronem, a nie z ryżem? - zapytał zanurzając łyżkę w zupie.
- Bo został od wczoraj z rosółu.

Ojciec zjadł dwie łyżki, czyli zawartość dwóch łyżek i ciężko westchnął:

- Jutro jedziemy do Wrocławia, protestować przeciwko protestom studentów.

Zaległa cisza. Słysząc było tylko przełykanie zupy przez rodzinę 2 + 2. Pierwsza odezwała się mama.

- Przygotuję więcej kanapek.
- I dwa termosy z herbatą.
- Może jakieś bandaże ci dać?
- Po co?
- Gdybyś został ranny....

O, przed oczami stanął mi obraz rannego żołnierza z któregoś wojennego filmu. Krew tryskała, nad żołnierzem stała młoda sanitariuszka i pocieszała go, twierdząc, że będzie żył długo i szczęśliwie, po czym wojak umarł. Czyżby tato szedł na wojnę?

- To gdzie ta wojna jest? - zapytałam cicho znad talerza.
- Jaka wojna?
- Ta, na której tata będzie ranny.

Mama spojrzała na mnie przerażonym wzrokiem. Ojciec uśmiechnął się:

- Nie martw się, tata nie idzie na wojnę i ranny też nie będzie. Wróci cały i zdrowy.

Nie pamiętam, czy zapewnienia ojca mnie przekonały, czy też nie. Mama nie została przekonana i cały wieczór wzdychała. Tato przyniósł z piwnicy wiadro węgla, po czym powiedział, że idzie się przejść, żeby uspokoić nerwy.

I teraz wkraczamy w sferę domysłów i teorii spiskowych, bo następujące wkrótce fakty miały związek z owym wyjściem.

Prawdopodobnie było to tak:

Ojciec zaszedł do jednego z trzech sklepów monopolowych w dzielnicy. Prawdopodobnie był to ten najbliższy domu, bo szybko wrócił. Jako że w tego typu sklepie można było kupić jedyny towar, nabył dwie butelki o pojemności 0,5 litra napoju zwanego „wódka czystą”. Po powrocie do domu schował butelki w przedpokoju w skrzynce ukrywającej liczniki na gaz i prąd albo na samej górze szafki z butami. Liczniki otwierano tylko wówczas, kiedy chodził inkasent, a we wskazanym

miejscu w szafce znajdowało się obuwie letnie, którego na przedwiośniu rzecz jasna, nie używano. Rano tato zapakował w torbę podwójną porcję kanapek, dwa termosy, a wychodząc zabrał skitrane półlitrowki.

Po drodze do pracy tradycyjnie spotkał się z kolegami mieszkającymi na trasie. Wszyscy mieli wypełnione po brzegi swoje „aktówki”. Wszystkim dopisywał humor, co w przypadku marca 68 i planowanego wyjazdu na protest przeciwko protestowi było podejrzane. Na szczęście nie spotkali żadnego patrolu milicji, chociaż przechodzili obok komisariatu.

Bez problemu dotarli na plac przed zakładem, gdzie oczekiwały na nich autobusy Jelcze, marki „ogórek”. Przy każdym zbierała się grupa pracowników. Widać było, że dobierają się według znanego im klucza. Kumple z kumplami.

Pomiędzy autokarami krążył aktyw, którym przydzielał transparenty i tzw. szturmówki, czyli czerwone flagi symbolizujące klasę robotniczą.

- My chcemy tą o literatach! - krzyknął przywódca grupy mego ojca, zawodowo kierownik biura.
- Weźcie tę o syjonistach na Syjon.
- Nie weźmiemy. Ręka by mi uschła, gdybym machał takim napisem – dorzucił młodszy rachmistrz. - Dawaj o literatach!
- A po tej z literatami to wam ręka nie uschnie? - zaśmiał się aktywista.
- Nie, bo i tak nie czytam! Ha ha! - odezwał się biurowy goniec.

Kiedy już wszystkie rekwizyty rozdano, pracownicy wiodącego zakładu pracy wsiedli do „ogórków” i ruszyli w kierunku Wrocławia.

Szosa składała się wówczas z dwóch pasm ruchu, jeden pas w jedną stronę, drugi w drugą. Kolumna, uzupełniana przez autokary z innych zakładów, posuwała się majestatycznie w stronę wielkiego miasta.

W autokarze z moim tatą panował nastrój radości. Ktoś nawet próbował zainicjować narodową pieśń „Szła dziewczeczka do laseczka”, ale szybko został skarcony słowami

- Jeszcze nie teraz idioto!

Cokolwiek to nie znaczyło, idiota zamilkł.

Po pewnym czasie przywódca czyli kierownik podszedł do kierowcy:

- Panie, w las trzeba skręcić.
- Po co?
- Siusiu ludziom się chce. Skręcaj pan w boczną drogę i stań tak, aby pana z szosy nie widzieli.

W dzisiejszych czasach kierowca pewnie by od razu pomyślał o porwaniu czy innym akcie terroryzmu. Wtedy, kiedy stacji benzynowych zwanych CPN ( skrót od Centrala Przemysłu

Naftowego) było jak na lekarstwo, na siusiu zatrzymywano się w lesie. Rosły więc sobie takie ekologiczne lasy na naturalnym ekologicznym nawozie i wszystko grało.

Autokar wjechał w gęsty las mieszany, zatrzymał się. Nikt jednak nie wychodził.

- Panie... - zwrócił się szef do faceta za fajerą – Nic pan nie widzisz, nic pan nie słyszysz. Nie jedziemy do Wrocławia. Zostajemy tutaj. Balangę robimy, rozumiesz pan? Męska impreza! Żadnych żon. Żadnych dzieci! Tak okazja prędko nie nie trafi! I ciesz się pan, że nie musisz jechać na ten protest przeciwko protestowi.
- Ale licznik.... kiedy ja nabiję 150 kilometrów? - zaniepokoił się kierowca.
- Władek! Wyciągaj sprzęt! Panie, co pan myślisz, że nie pomyśleliśmy o tym? - zaśmiał się kierownik zwany szefem.

Młody chłopak wyciągnął torbę z narzędziami. Zajrzał tu i ówdzie, pokręcił tym i tamtym, po czym zakomunikował radośnie:

- Załatwione! Pchnąłem licznik do przodu o 150 kilometrów. Właśnie wracamy z Wrocławia.

Kierowca miał jednak obawy:

- Ale skąd będziemy wiedzieć, kiedy wracać?

Przywódca miał przygotowaną odpowiedź:

- Proste, jak zobaczymy wracającą kolumnę. Takiej ilości „ogórków” na szosie nie sposób przegapić. Kiedy będą jechać, to my z lasu wyskoczymy i dołączymy! Wszystko mamy zaplanowane. No to co, panowie? Zaczynamy?
- Zaczynamy! - rozległo się chóralnie.

I się zaczęła narodowa męska biesiada. Każdy był wyposażony nie gorzej niż mój ojciec. Pojawiły się kanapki, ogórki własnej roboty, ba, ktoś miał nawet ciastka typu herbatniki. Byli tacy, co postarali się o kieliszki. Rozlewano, polewano, przekąszano.

Śpiewano. Oczywiście na początek o dzieweczce. Ale potem włączyła się nuta partyzancka, wszak większość z obecnych o partyzantkę drugowojenną się otarła. Ktoś zainicjował „O mój rozmarynie rozwijaj się”, inny dodał „Przybyli ułani pod okienko”. Starszy rachmistrz spod Warszawy ryknął „Warszawskie dzieci pójdziemy w bój”. Mój ojciec próbował popisać się swoją pieśnią, której znał tylko refren „Dziś tylko trupy znaczą nasze drogi, my ludzie leśni, mała garstka nas”.

Im puściej było w butelkach, tym repertuar stawał się coraz bardziej wyszukany. „My ze spalonych wsi, my z głodujących miast” czyli „Marsz Gwardii Ludowej” uznano za pieśń nieustannie aktualną. O dziwo, odśpiewano nawet „Międzynarodówkę”, przy słowach której niektórzy nawet chcieli wstać z autobusowych siedzeń.

„Wyklęty powstań ludu ziemi!

Powstańcie których dręczy głód”...

w tym momencie jeszcze trzeźwi przyznali, że z tym głodem to przesada. Żony odpowiednio

zadbały o zawartość „aktówek” przed wyjazdem na polityczny protest.

Powoli nastrój się uspakajał. Niektórzy zaczęli przysypiać. Ktoś nie wytrzymał dawki i wyskoczył w krzaki, by zwrócić matce naturze jej plony. Inny poszedł siusiu, by nie było, że autokar zatrzymał się w lesie z innego powodu.

Bardziej trzeźwi rozpoczęli dyskusję na temat szans ukochanej drużyny piłkarskiej w rundzie wiosennej rozgrywek.

- A co z transparentem?
- Zdychu ma już dwa. Jeden z napisem „Orły do boju”, a drugi „Nie damy się”.
- Nie, nie o piłkarskie chodzi. O ten transparent z napisem „Literaci do pióra”.
- Leży na samym końcu.
- No właśnie, niedobrze, że leży....

Bardziej trzeźwi uznali, że transparent nie może wrócić do zakładu pracy nietknięty. Przecież miał być rozłożony na manifestacji, czyli muszą się na nim znaleźć ślady użytkowania.

- Hej chłopcy, do roboty! - wrzasnął szef – szmatę trzeba rozłożyć.

Kilku niemanifestujących wyniosło białe płótno z czarnym napisem. Próbowali je trzymać rozłożone trzymając w rękach. Niestety, nie udało się. Ręce odmawiały posłuszeństwa.

Położyli transparent na zmarzniętej i porytej jeszcze śniegiem ziemi. Ktoś przeszedł po nim, ktoś rozgniół gotowane na twardo jajko. Paru rzuciło na literatów brudny śnieg.

W wyniku aktywnych działań chwiejącego się na nogach aktywu transparent wyglądał rzeczywiście jak po starciu z wrogiem klasowym.

Wszyscy byli zadowoleni z dobrze wykonanego zadania.

Tymczasem czas, jak to czas, leciał do przodu. Oraz częściej imprezowicze spoglądali w stronę szosy. Nasłuchiwali.

Wreszcie rozległ się szum silników Jelczy marki „ogórek”. Oznaczało to nieuchronny powrót do domu.

Zgodnie z założeniami leśny autokar wcisnął się w kolumnę wracających protestantów i spokojnie, wraz z innymi, dojechał na plac przed zakład pracy. Z pojazdów wyszli wykończeni robotnicy.

Większość miała minę typową dla człowieka zdjętego z przysłowiowego krzyża. Jedyne mój ojciec wraz z kolegami tryskał wyjątkowym humorem. W związku z tym, że wszyscy mieli wszystkiego dosyć, nikt na wesoły autobus uwagi nie zwracał.

Nastrój dobrej imprezy zniknął u mego ojca z chwilą wejścia do domu. Zaniepokojona żona czekała na męża, by dowiedzieć się, czy i jak potępił studentów. Kiedy jednak mąż wszedł do mieszkania i głęboko odetchnął, mama puściła wiązanek słów, których przytaczać nie wypada.

Skończyło się na cichych dniach. Mama przeniosła się ze spaniem do mnie, na mój tapczan. Ojciec po powrocie z pracy, sam odgrzewał sobie zupę i odsmażał kartofle.

Nareszcie można było oglądać w spokoju i ciszy telewizję, bo nikt nie komentował. My dzieci właściwie robiłyśmy, co chciałyśmy, bo nie zwracano na nas uwagi.

W sumie taki tydzień ciszy wszystkim się przydał. Potem wszystko wróciło do normy, czyli przestałam spać z mamą.

W późniejszych latach dowiedziałam się, że w innych domach po miejskiej wyprawie na Wrocław też było cicho.

Cóż, w autobusie było pięćdziesięciu mężczyzn. A może były jeszcze inne takie same autobusy?

Najciekawiej było jednak za lat ok. dwunastu czyli w historycznych latach osiemdziesiątych. Na fali ówczesnych protestów mój ojciec też chciał się pochwalić działalnością kombatancką. Podczas jednej z mocno zakrapianych rodzinnych imprez opowiedział historię wyprawy na Wrocław. Mówił radośnie i z uśmiechem.

Wywołał rodzinny skandal.

- Jak można było chlać, kiedy tam studentów bili! - oburzył się wujek.
- Trzeba było jechać i protestować razem ze studentami! - wściekła się ciocia.

Pamiętając o takiej reakcji otoczenia, w innym kręgu opowiedział historię inaczej. Faktów nie zmienił. Wyjaśnił jednak, że robotnicy obawiając się o los swój i rodzin, nie mogli oficjalnie protestować przeciwko ich udziałowi w proteście przeciwko protestowi. Życie więc zmusiło ich do ucieczki z szosy w drodze do Wrocławia. Rozpacz ich była tak ogromna, że się z tej rozpacz napili....

Tato i jego koledzy stali się prawie bohaterami.

## **Migdałki ocalone**

Po wydarzeniach marcowych w moim domu zapanował błogi spokój. Ojciec przynosił z pracy i miasta różne wiadomości. Mama też zbierała je w kolejkach. Na podwórku również rozmawiano o czasie teraźniejszym. Robiło się coraz cieplej, co oznaczało, że niepracujące mamy wychodziły na skłeczone z byle jakich desek ławeczki i rozmawiały. Jako że nadal nie posiadaliśmy porządnego radia, wiadomości z zagłuszanych rozgłośni przekazywały mamie sąsiadki.

I tak właściwie życie toczyło się normalnie. Przynajmniej my dzieci nie odczuwałyśmy, że świat ponownie staje do góry nogami i to blisko nas – w Czechosłowacji.

Pierwszą osobą z dziecięcej paczki, która przekonała się o tym na własnej skórze, byłam ja. Ja i moje migdałki.

To, że dzieci często się przeziębają, jest zjawiskiem normalnym nawet w dzisiejszych czasach. Kiedyś też tak było. Jedynym dzieckiem, które nie chorowało był słynny Damien z filmu „Omen”.



Tyle tylko, że film nakręcony w 1976 roku, a Damien był dzieckiem szatana. Zatem za mego dzieciństwa kichało, kaszłało i miało katar każde dziecko.

Z nieznanymi mi przyczynami o przyczynę wszystkich przeziębień posądzano wówczas migdałki. Zamiast lodów i zimnej wody z kranu. Bo tak naprawdę to one były przyczyną częstego bólu gardła.

W każdym razie migdałki wycinano nałogowo i każdemu dziecku groziła taka interwencja chirurgiczna. Ponoć bolesna nie była. A zdecydowanie łagodzący ją opowieści o lodach przynoszonych w dużych termosach do szpitala przez rodziców. Pacjent po wycięciu migdałów wsuwał te lody również nałogowo i zapominał o bólu.

Tak przynajmniej twierdziło kilka osób z mojej klasy, którym owe narządy wewnętrzne wycięto. Ja migdałowego pecha miałam od narodzin. Urodziłam się z dużymi i zawsze były one przedmiotem troski pediatrów. Przy każdej wizycie u lekarza słyszałam, że należy je bezwzględnie wyciąć, bo są siedliskiem wszelkich bakterii, wirusów i zarazków. Mama zawsze mówiła, że nic z tego, dziecka na poniewierkę do szpitala nie odda i kazała mi płukać gardło wodą z solą lub co gorsza – z wodą utlenioną. Brr...

W końcu jednak odpuściła. Moda na zabieg zwany fachowo tonsillektomią spowodowała, że z ciężkim bólem rodzicielka postanowiła jeszcze raz mnie przebadac i umieścić w szpitalu.

Rano nie dostałam śniadania i poszliśmy do laryngologa. Trzęsłam się już od samego wyjścia z domu. Wiedziałam, co mnie czeka. Nie cierpiałam tego badania.

Lekarz najpierw oglądał gardło, potem mył starannie ręce i wkładał mi palec do środka. (Teraz już wiecie, dlaczego mama nie dała mi śniadania...). Oczywiście nastąpiło potwierdzenie diagnozy: nie dość, że dwa na wierzchu są przerośnięte, to jeszcze trzeci w środku też jest stanowczo za dużo.

Wywalić trzeba wszystko.

Dostałam skierowanie do szpitala, z jednym tylko zastrzeżeniem – nie wiadomo, czy zostanę od razu przyjęta. Trzeba trochę poczekać. Mama przytaknęła głową na znak, że kuma w czym rzecz i postanowiła odczekać jakiś czas z zaprowadzeniem mnie na operację.

W końcu wylądowałyśmy na izbie przyjęć. I co? I nic? Zostałyśmy odesłane z powrotem do domu. Dlaczego?

Wałbrzych, w którym mieszkałam od urodzenia, znajdował się w strefie przygranicznej z bratnim narodem czechosłowackim. A to właśnie na teren owego państwa wkroczyły w sierpniu bratnie armie bratniego Układu Warszawskiego, by bronić jedynie słusznej linii ideologiczno - światopoglądowej, którą reprezentowały. Operacja militarna „Dunaj 1968” zahaczyła o moje miasta. Wzmociono ochronę granicy, wystawiano więcej patroli i zamknięto szpitale. No nie całkowicie zamknięto. Było tak jak obecnie w czasie strajku. Przyjmuje się tylko osoby z zagrożonym życiem. Personel medyczny obecny jest w szpitalu. Wtedy czekał na ewentualnych

rannych. Teraz czeka na spełnienie postulatów. Migdałki nie mieszczą się ani w kategorii rany na polu walki ani w kategorii zagrożenia życia.

W wyniku powyższych działań migdałki, których żywot miał skończyć się w sierpniu 1968 roku, pozostały mi do dziś. Tym bardziej to cenne, iż w późniejszych latach uznano zabieg tonsillektomii za zbyt szkodliwy w większości przypadków, przynoszący więcej szkody niż pożytku. Można powiedzieć, że wojska Układu Warszawskiego uratowały je. Szkoda było tylko lodów, które dostawali moi znajomi...

## **Meksykańska pałeczka**

W październiku 1968 roku było przyjemne wydarzenie historyczne w mojej rodzinie. Posiadając telewizor marki Neptun, 14 cali, ponownie moja rodzina zasiadła przy stole oglądając bezpośrednio transmisję z XIX Letnich Igrzysk Olimpijskich, tym razem z Meksyku.

Przed wszystkim rodzice oglądali transmisje nocą, bo różnica czasu – siedem godzin do tyłu, albo do przodu, choroba, nie kojarzę.... - powodowała, iż najważniejsze wydarzenia były nocą. Mnie pozwalano na oglądanie wiedząc, że i tak zasnę.

Leżałam więc na tapczanie w pokoju i patrzyłam na ekran telewizora znajdującego się w pokoju rodziców. Taki był układ mieszkania. Ale nie to mnie dziwi. Jak ja mogłam oglądać taki mecz siatkówki (brązowy medal Polek!) z odległości ok. ośmiu metrów na tak małym telewizorze? Cóż, młody człowiek był i chyba dlatego.... A może w ogóle nie oglądaliśmy siatkówki?

W każdym razie emocje były. Medale też. Nazwiska i dyscypliny sportu też znałam. Ale wydarzyło się też coś innego.

Oto Polki, biegnące w sztafecie 4x100 metrów zgubiły tzw. pałeczkę i nie awansowały do finału. O celowe zgubienie owej pałeczki posądzono naszą wielką gwiazdę Irenę Kirszenstein, jeszcze wówczas bez Szewińskiej.

Otóż nasza znakomita biegaczka była pochodzenia żydowskiego. Byli tacy, co próbowali zmierzać ją z błotem i uczynić z niej wroga klasowego, dać bilet w jedną stronę i odesłać na Syjon w Jerozolimie.

W moim domu wyglądało to tak:

Ojciec jak zwykle przyszedł z pracy ok. 15.30. Na szeroki parapet położył swą roboczą torbę, zwaną „aktówką”. Wymył ręce pod kranem z tylko zimną wodą i usiadł przy stole w dużej kuchni (nie, nie był to żaden salon z aneksem kuchennym, to była kuchnia) na krześle ustawionym tyłem do okna. Popatrzył na rodzinę, policzył, czy wszyscy są, obrócił się do okna. Z parapetu zdjął aktówkę i wyciągnął gazetę.

Mama nalewała do głębokich talerzy, w których już był makaron domowej roboty, rosół z garnka

stojącego na węglowej kuchni (nie mylić z pomieszczeniem). Stawiała przed każdym członkiem rodziny.

Ojciec spojrział w talerz:

- Znowu rosół? A nie można było tak pomidorowej?
- Pomidorowa będzie jutro. Z tego rosółu – oznajmiła mama.

Ojciec westchnął. Rozłożył gazetę. Zasłonił nią talerz i samego siebie. Zaczął czytać. W ciszy i skupieniu wsuwaliśmy rosół gotowany na wołowinie, która wówczas była ogólnodostępna i tania. Uchodziła za mięso kategorii drugiej, a nawet trzeciej. Na pierwszym była zdecydowanie wieprzowina, potem u większości kurczaki.

Krowy nie miały wówczas wielkiego szacunku. Zwłaszcza części, z których gotowało się rosół. Jedliśmy zatem ten rosół z kiepskiego mięsa, z makaronem domowym, który też wówczas do rarytasów nie należał. Rarytasem był makaron kupiony w sklepie o kształcie grubych rurek. Niestety, domowy był zdecydowanie tańszy i większość kobiet sama mieszała mąkę, robiła ciasto i kroїła je w cienkie paski.

- Mówią, że zrobiła to specjalnie – wyrwało się ojcu znad talerza po odłożeniu gazety.
- Co zrobiła specjalnie? - zapytała wyrwana z zadumy nad zawartością talerza mama.
- No, tę pałeczkę specjalnie zgubiła.
- Aha.... W gazecie piszą, że specjalnie?
- Nie, ludzie tak mówią.
- Gdzie? Na podwórku nikt nic nie mówił.
- Na mieście.
- Aha....
- Kto zgubił? - próbowałam dołączyć się do rozmowy.

Szybko zostałam za to skarcona.

- Przy jedzeniu się nie gada – syknął ojciec.

Oczywiście dzieci nie gadają. Dorośli mogą.

Ojciec oddał pusty talerz:

- Mówią, że była w zмовie z tymi, no jak im tam, syjonistami.
- W Meksyku? - nie dowierzając zapytała mama.
- Mówią, że oni wszędzie mają swoich agentów, a skaptowali ją w marcu w Polsce.
- Gdzie skaptowali?
- Podczas manifestacji pod politechniką we Wrocławiu.
- A widzisz, gdybyś tam dotarł, na pewno by jej nie skaptowali.

Podczas dalszej części obiadu, w postaci porcji wołowego z kością, na którym ugotował się rosół, rodzice toczyli dalszą dyskusję na temat nieszczęsnej pałeczki i domniemanej sprawczyni

narodowej katastrofy. Gdy rodzinnie doszliśmy do tradycyjnego deseru, czyli budyniu, starzy wcale nie byli już pewni, czy aby pałeczka została upuszczona celowo.

- Mówią, że Wolna Europa nic na ten temat nie mówi – wyjaśnił ojciec.
- A Głos Ameryki?
- Głos Ameryki nic nie powie, bo w Ameryce rządzi Żydzi.
- Kto tak powiedział?
- W pracy tak mówią.

W moim domu obowiązywały dwa źródła prawdopodobnych informacji. Mniej prawdopodobne pochodziły z miasta, bardziej – z pracy. Jako że mama nie pracowała, często posiadała jedynie te pierwsze pochodzące z kolejki sklepowej. Ojciec miał dwie możliwości, zatem mógł wyrobić sobie w miarę obiektywne zdanie. Ciągle marzył o kolejnej:

- Może by tak kupić porządne radio, żeby łąpało Wolną i Głos... człowiek by sam posłuchał, a nie tylko słuchał tego, czego inni słuchają...

Filozoficzny wywód mego ojca, mama przyjęła z uznaniem, ale od razu postawiła kontrę.

- Nic z tego. Zima idzie. Buty nowe trzeba kupić.
- Komu? Mam te z ubiegłego roku.
- Ale dzieci rosną i wyrosły z ubiegłorocznych.

No tak, znowu porządnego radia nie będzie.

Do tego, że w domu nie słuchamy Wolnej Europy i Głosu Ameryki trudno było w ówczesnych czasach się przyznać. Ponoć słuchał każdy. I większość krytykowała podawane tam wiadomości. Była tak, jak w późniejszych czasach z piosenkami disco polo. Nikt nie lubi, nikt nie słucha, ale każdy największe hity zna na pamięć.

Nasza rodzina nie przyznawała się, że nie słucha zakazanych rozgłośni z powodu braku odpowiedniego sprzętu. Bo jak to, mieliśmy jeden z pierwszych telewizorów w kamienicy, a normalnego radia nie? To co stało na stoliku odbierało jedynie jeden polski program i dwa czeskie....

Wielokrotnie słyszałam jak rodzice tłumaczyli brak znajomości faktów prezentowanych przez owe rozgłosnie faktem, iż nasze mieszkanie jest na głównej linii, po której płynie sygnał zakłócający nadawanie wiadomości z Europy. Powoduje to, że nasze radio jest najbardziej zakłócanie. Wszyscy nam współczuli.

Tak więc dyskusja z pałeczki przeniosła się na buty, ponieważ bliższe one były niż wydarzenia w dalekim amerykańskim kraju.

Temat wrócił po kilku dniach w postaci zupełnego zaprzeczenia poprzednim tezom.

Ojciec jak zwykle przyszedł z pracy ok. 15.30.... i tak dalej, i tym podobnie. Tym razem przemówił przy żurku z naturalnego zakwasu, który można było wówczas bez problemu kupić w pobliskiej

piekarni.

- Nikt w to nie wierzy, że upuściła specjalnie.
- Skąd wiesz?
- Tak mówią.
- Kto?
- No, w pracy. Mówią ci, co byli w marcu we Wrocławiu. Nie widzieli jej tam.

Po podaniu drugiego w postaci kotletów mielonych z przewagą bułki tartej mama wygodnie usiadła przy stole:

- A ja to w ogóle nie wierzę, że ona ma jakiś związek z polityką. Plotki o specjalnym upuszczeniu pałeczki rozgłosili prawdziwi wrogowie.
- Czyli kto?
- Nie wiem dokładnie kto, ale to byli sportowi rywale. Chcieli dziewczynę wyrzucić z Polski, zniszczyć, żeby nie uprawiała sportu, nie zdobywała więcej medali. A o Wrocławiu to już nie mówmy... Było, minęło.

Mama mówiła dosadnie i z wielką pewnością w głosie. Dziś już nie pamiętam, kto był największym rywalem Polki... Rosjanka? Niemka z NRD? A może Amerykanka?

W każdym razie rodzina stanęła po stronie sportsmenki. Cały kraj zresztą też. Plotka okazała się wredną robotą anty syjonistów i anty semitystów.

Oczywiście zauważyliście, że podczas rozmowy rodziców przewinęła się nazwa jednego z największych miast w Polsce – Wrocław. Wicie już dlaczego miasto od marca 1968 było zakazane, potępiane i negowane na każdy możliwy sposób przez moją rodzinę, przepraszam, głównie mamę.

I żeby rok zakończyć, jeszcze jeden fakt. Oto jeden z członków rodziny, młody student politechniki we Wrocławiu wdał się w marcową awanturę i został relegowany, czyli usunięty z uczelni. Zamiast w dużym mieście, musiał przenieść się ze studiowaniem do miasta średniej wielkości czyli

Wałbrzycha. Tu właśnie otwarto filię wrocławskiej uczelni i można było kształcić się na inżyniera.

W sumie jako małolat nie kumałam, dlaczego filia ma być gorsza, wszak przyjeżdżali tu prowadzić zajęcia właśnie ludzie z polibudy wrocławskiej. Do tego koszt studiowania był znacznie tańszy, bo kuzyn mieszkał we własnym domu, a nie w akademiku, które zawsze miały nieciekawą opinię. W każdym razie rodzina nie była zachwycona, a niektórzy przez wiele lat wypominali młodemu, że niepotrzebnie walczył o „Dziady”.

On sam milczał i został magistrem inżynierem jakiejś specjalności politechnicznej i z „Dziadami” nie ma nic wspólnego.

**1970**

## Pomrocność ciemna

I jak tu zacząć? Tragiczne wydarzenia na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku wstrząsnęły Polską. Dziś mamy wiedzę na temat tego, co się wówczas działo. Wówczas tę wiedzę też mieliśmy, ale zdecydowanie mniejszą.

- Czy pamiętasz, co się działo w Wałbrzychu w grudniu siedemdziesiątego? - pytam przez telefon koleżankę z podwórka.
- No, w Gdańsku była tragedia...
- Nie pytam o Gdańsk!
- No, w Gdyni ludzie zginęli....
- Nie pytam o Gdynię! Pytam o nasz Wałbrzych!
- No, nie wiem, dzieckiem byłam...
- Jakim dzieckiem? Miałaś już dwanaście lat. Jeśli się coś działo, to powinnaś pamiętać!
- A ty pamiętasz?

No, nie pamiętam.

Wybieram kolejny numer telefonu. Kolega jest starszy o całe sześć lat. W grudniu 1970 miał ich osiemnaście.

- Czy pamiętasz, co działo się u nas w grudniu 1970?
- W Trójmieście była tragedia i....
- Nie chodzi mi o Trójmiasto, chodzi mi o nasze miasto, 600 km od Trójmiasta!
- Aha, muszę pomyśleć. Oddzwonię.

Czekam do wieczora. Ja dzwonię.

- No i co?
- Wiesz, głupio mi, ale chyba mam sklerozę. Nic nie pamiętam. Tylko milicja na sygnale przejechała kilka razy obok zakładu pracy... ale może to do wypadku...
- Takich rzeczy się nie zapomina! Może nic się nie działo i o niczym nie wiesz? W internecie są wiadomości, że coś się działo, tylko nikt nie napisał co.
- Może i nic się nie działo.... A zresztą kto to wierzy internetowi..... A tak w ogóle to co u ciebie słychać? Wszyscy zdrowi? Piesek jeszcze żyje? Dbasz o poziom cukru i mierzysz regularnie ciśnienie?

No tak.... Zdrowi. Żyje. Dbam. Mierzę.

Pomrocność ciemna nas dopadła, że nie pamiętamy tamtego grudnia? Jak więc to było z tym końcem tamtego roku w moim życiu, w tych dziwnych czasach...

Tato jak zwykle przyszedł z pracy ok. 15.30. Na szeroki parapet położył swą roboczą torbę, zwaną

„aktówką”. Wymył ręce pod kranem z tylko zimną wodą i usiadł przy stole w dużej kuchni (nie, nie był to żaden salon z aneksem kuchennym, to była kuchnia) na krześle ustawionym tyłem do okna. Popatrzył na rodzinę, policzył, czy wszyscy są, obrócił się do okna. Z parapetu zdjął aktówkę i wyciągnął gazetę.

Mama postawiła przed nim talerz z kapuśniakiem.

- O, dawno nie było – powiedział mieszając łyżką w zupie.
- No właśnie.

Wszyscy z radością zaczęliśmy jeść dawno niewidziany w talerzu kapuśniak z ziemniakami gotowanymi razem.

- I co mówią na mieście? - zapytała mama.
- Coś się szykuje. W pracy też tak mówili.
- Co?
- Gdybyśmy mieli porządne radio, wiedzielibyśmy!

Mama wzruszyła ramionami:

- Buty na zimę trzeba było dzieciom kupić, a nie jakieś radio. Chcesz się czegoś dowiedzieć, to idź do Starszyka. On słucha wszystkich tych radi... radiów... no tych, co zagłuszają... chyba są zagłuszani...

Mama pogubiła się w zawłościach poprawnej polszczyzny.

- Rozgłośni radiowych... - rzuciłam znad talerza.
- No właśnie... rozgłośni.... Patrz, jaką mądrą masz córkę. Pewnie nauczycielką polskiego będzie – podsumowała mama.

Wówczas brzmiało to jak wyróżnienie, dlatego od razu pokazałam młodszemu bratu język. Niech smarkacz wie, kto jest mądrzejszy. Ten oczywiście też mi pokazał, ale zrobił to tak nieudolnie, że zawartość jego ust, w postaci kapuśniaka, wylała się na stół. Oczywiście oberwał za nieprzyzwoite zachowanie się przy stole.

Wieczorem ojciec poszedł do sąsiada, by dowiedzieć się co mówią w rozgłosniach. Zanim jednak wrócił w domu rozległ się lament mamy siedzącej przed telewizorem:

- O Boże, co to teraz będzie... Święta blisko, a tu takie coś....

I tak było kilka razy.

Tato po powrocie nie był tak łagodny. Z jego ust wysypała się lawina słów uznawanych za wulgarne w każdych czasach. Niektóre słyszałam po raz pierwszy.

Przyczyną tego były podwyżki cen żywności. Wiadomość za pośrednictwem radia (nie zagłuszanego) i telewizji dotarła do narodu 12 grudnia. W górę, średnio o 25%, poszła cena mąki, mięsa, cukru i innych tzw. artykułów do żarcia.

Okazało się, że rządzący decyzję o owej drastycznej podwyżce podjęli znacznie wcześniej i zaczęli

ostre przygotowania do jej wprowadzenia. Stąd też rozgłoszenie radiowe (te zagłuszane) dostały przecieki i wcześniej informowały ludzi o koncentracji jednostek bojowych MON i MSW.

Następnego dnia była niedziela. Lud miał się przespać z podwyżkami i przyjąć je do wiadomości. A w poniedziałek dnia tato jak zwykle przyszedł z pracy ok. 15.30. Na szeroki parapet położył swą roboczą torbę, zwaną „aktówką”. Wymył ręce pod kranem z tylko zimną wodą i usiadł przy stole w dużej kuchni (nie, nie był to żaden salon z aneksem kuchennym, to była kuchnia) na krześle ustawionym tyłem do okna. Popatrzył na rodzinę, policzył, czy wszyscy są, obrócił się do okna. Z parapetu zdjął aktówkę i wyciągnął gazetę.

Mama postawiła przed nim talerz z zupą jarzynową.

- Co taka rzadka? - zapytał mieszając łyżką w talerzu.
- Podwyżka przecież. Oszczędzać trzeba.

Siedzieliśmy przy stole jedząc rozwodnioną zupę i przegryzając ją chlebem. Tato czytał nowe ceny produktów zamieszczone w gazecie. Kiedy skończył, mama nieśmiało zaczęła:

- Wiesz co, a na mieście to mówią....

Wiadomo, że informacje z miasta przynosił zawsze ojciec, który tym razem przestał jeść.

- Co mówią?
- ....że w Gdańsku coś się dzieje.... jakiś strajk.... nie chcą tej podwyżki....

Słowo „strajk” nie było obce w domu. Mamie zdarzało się strajkować po takich akcjach ojca jak ta związane z marcem 1968. Wtedy ojcu nie podawała obiadu i nie szykowała kanapek do pracy. Ale jak wyglądał strajk w Gdańsku?

I tak moi drodzy rozpoczął się w moim domu tragiczny grudzień 1970 roku.... Każdego dnia ojciec z pracy i z miasta, mama z miasta, czyli sklepów przynosili wiadomości. Niektóre były sprzeczne ze sobą, inne, zwłaszcza te o strzelaninie wydawały się zupełnie informacjami z planety Mars. Tymczasem w Wałbrzychu nic się nie działo. Oprócz rozmów i przekazywania informacji na wiadomy temat, życie toczyło się normalnie. Zupy wróciły do stanu normalności, a mama rozpoczęła przygotowania do świąt.

Dwudziestego grudnia nastąpił długo oczekiwany przełom w sprawie podwyżek. Nastąpiła zmiana na tronie pierwszego sekretarza. Towarzysza Wiesława zastąpił towarzysz Edward.

I ludziom się to spodobało! Zwłaszcza członkom mojej rodziny pochodzącej z Francji. Bo przed II wojną właśnie Francja pełniła rolę takiej Anglii przed brexitem. Wyjeżdżano tam za chlebem, do pracy.

Członkowie mojej rodziny też tam się znaleźli. Niektórzy załapali ducha światopoglądu Marksa i Engelsa i po wojnie wrócili wraz z dziećmi do kraju, w którym ten światopogląd miał być wprowadzony w życie.

Wzorcem dla nich był Maurice Thorez, francuski polityk komunistyczny. Toteż w momencie, kiedy



na tron w partii zasiadł człowiek z francuskim życiorysem, francuscy Polacy mocno go poparli. Co ja mówię, francuscy... większość, i to ta zdecydowana, go poparła. Człowiek od razu poprosił naród o pomoc, a słynne „Towarzysze pomożecie?!“ zabrzmiało w całym kraju odzewem „Pomożemy!”

Na naszej kamienicy pojawił się nawet napis „Niech żyje Gierek!”. Co niektórzy twierdzą, że nie było to na przełomie 70/71 roku, ale znacznie później.

Co i kiedy by nie było, święta Bożego Narodzenia minęły normalnie, a nowy 1971 rok przywitaliśmy radośnie i z nadzieją.

O wydarzeniach na Wybrzeżu dokładnie dowiedziałam się latem 1973 roku. Rodzinnie odwiedziliśmy znajomych w Gdańsku. Słuchaliśmy, oglądaliśmy....

Aha, co z podwyżkami cen? Chyba je anulowano.... na pewno je anulowano. Bo potem okazało się, że chyba niesłusznie anulowano....

## **1974**

### **Bierzmowanie**

Szczególny to był rok w moim życiu... Ale po kolei. Zacznijmy od religii.

Jeśli wierzyć co niektórym, w czasach PRL-u religia była zakazana, a do kościoła nie wolno było chodzić. W wyniku takich zakazów na lekcje religii chodził praktycznie każdy uczeń takiej podstawówki jak moja, a tłumy wypełniały kościelne budynki w czasie każdej niedzielnej mszy. Wszak dziwne to były czasy....

Na religię chodziliśmy oczywiście do salki katechetycznej przy kościele. Owych nie było tak dużo jak obecnie i wyjście na katechezę było sporą wyprawą. Ale za to jaką! Zbieraliśmy się grupą, szliśmy razem, wracaliśmy też wspólnie i nikt nam nie podskoczył. W kupie siła, kupy nikt nie ruszy. Nasza trasa wiodła wśród ogródków, przechodziliśmy przez dwie, niektórzy przez trzy ruchliwe ulice. Nikt nas nie zaczepiał ( a niech by spróbował!). Nikt z nas nie wpadł pod samochód. Krokiem prawie marszowym do salki szliśmy dwadzieścia minut. I tak dobrnęliśmy do ósmej klasy i wiosny, podczas której mieliśmy zostać wybierzmowani. Dwa tygodnie przed wydarzeniem, ksiądz proboszcz zarządził dodatkowe zajęcia w kościele – każdego dnia po wieczornej mszy mieliśmy uczyć się, jak zachować się w czasie uroczystości. Księdzu bardzo zależało, żeby wypadło wszystko jak najlepiej, bo biskup z Wrocławia przyjeżdżał do parafii tylko raz na rok. Żeby bierzmować i oczywiście wizytować parafię.

Msza była o osiemnastej, zatem nasze zajęcia rozpoczynały się około osiemnastej czterdzieści. Czy mogło być coś lepszego niż wieczorne wyjście z domu i wyprawa z ferajną po wielkie

przygody, znaczy się doświadczenia życiowe?

Przecież jesteśmy już w ósmej klasie, najstarsi w szkole, teraz tylko bierzmowanie i szkoła średnia.

Człowiek był prawie dorosły.

Zbieraliśmy się tradycyjnie przy ogródkach. Kupą szliśmy do kościoła. Czekaliśmy na koniec mszy, potem wkraczaliśmy do świątyni. I uczyliśmy się na pamięć kilku pieśni, nowych modlitw, zasad podchodzenia do ołtarza i zachowania powagi.

W poczuciu progu dorosłości, który mieliśmy wraz z bierzmowaniem przekroczyć, utwierdzał nas proboszcz, wygłaszając za każdym razem mini kazanie o tym, jak po dotknięciu policzka przez dłoń biskupa (symboliczne lanie w mordę) staniemy się dojrzałą młodzieżą.

Słowem – precz z dzieciństwem!

Wzięliśmy sobie to do serca.

Z kościoła wychodziliśmy po planowanych czterdziestu pięciu minutach. Jasno jeszcze na świecie. Wiadomo, wiosna. Ale na naszej trasie było kilka obcykanych miejsc, w których można było się schronić przed ówczesnym monitoringiem, czyli zbyt ciekawskimi ludźmi.

Wśród krzaków czarnej porzeczki niektórzy z nas po raz pierwszy zapalili papierosa. Z reguły były to „Sporty”, najtańsza nikotyna bez filtra. Uczyli ich palić oczywiście ci, którzy już wcześniej wracając z religii zachodzi pod krzak i palili.

Byli tacy, co po raz pierwszy złapali dziewczynę na jej rosnące na przodzie walory. Dziewczyna piszczała, ale była zadowolona, że już ma coś, za co można ją złapać. Dziś nazywa się to molestowanie.

Oczywiście po pierwszych kościelnych zajęciach ktoś skombinował „jabola” i wypiliśmy pod ową dorosłość, która nas czekała.

Podstawowym wyposażeniem były cukierki „miętówki”. Po papierochach i wińsku wystarczyły dwa, by swojski zapach zniknął nam z ust.

Zresztą, co ja tam będę ściemniać.... jeden papieros był na trzy osoby, a butelka wina – na dziewięć, dziesięć, a może nawet dwanaście. Trudno było się tym upić. Bardziej szumiało nam od faktu uczynienia rzeczy przeznaczanej tylko dla dorosłych.

Kiedy się napaliliśmy i napiliśmy ruszaliśmy „w miasto”. Jak pięknie było iść w miejsca zakazane, jak cudownie wyglądał staw przy starym dębie i szybie „Chwalibóg”, puste śródmieście i zachód

słońca nad starym cmentarzem....

Do domu wracaliśmy około dwudziestej drugiej. Było już ciemno. Wszystkich witała mama:

- Gdzie ty do cholery tak po nocach łazisz? Już na milicję chciałam iść!
- Jak to gdzie? W kościele byłam (em) – odpowiadał każdy z nas.
- Do tej pory?
- Jasne, przed bierzmowaniem trzeba się wielu rzeczy nauczyć. No, mogę przecież do tego bierzmowania nie przystępować – to był szantaż.

Oczywiście w czasach zakazu klerykalizacji takiej możliwości nikt nie brał pod uwagę.

- To proboszcz was tak długo męczy?
- No, a kto.... A jak nas wypuszcza to już robi się ciemno i trzeba wracać okrężną drogą, przez ulicę.

Fakt, była taka trasa. Nikt normalny nią do kościoła nie chodził, bo była dwa razy dłuższa. Wszyscy walili ścieżką przez ogródki.

Wyjaśnienia były precyzyjne. Wszak ustalone przy winie i papierosach, jak na dorosłych przystało.

Niestety, nasza sielanka trwała tylko trzy dni...

Jedna z mam, a była to moja, zdenerwowała się na proboszcza. Uznała, że dzieci nie mogą po nocach wracać do domu. Zwłaszcza, że rano muszą iść do szkoły. Poszła do niego i wygarnęła co jej na wątrobie leżało.

Co powiedział proboszcz? Domyślamy się. Co tam dużo gadać.... Wiemy na pewno.

Nie, kary chłosty nie było. Było gorzej. Mama poinformowała inne mamy.

Najpierw w każdym domu przeprowadzano dochodzenie, kto był inspiratorem działań i twórcą kłamstw mających zdyskredytować księdza proboszcza. Żaden z rodziców nie chciał wierzyć, iż to jego ukochane maleństwo wpadło na taki szatański plan.

- Wszyscy wpadliśmy na taki plan – brzmiało w starych ponemieckich budynkach.

Nikt nikogo nie sypnął. Może gdybyśmy byli bardziej świadomi politycznie, zwalilibyśmy wszystko na partię. Niestety, nie wpadło nam do głowy, żeby zwalić całą winę na ustrój, który jak dziś się mówi, nałogowo tępił księży.

- Co robiliście do tej dziesiątej? - brzmiało kolejne pytanie.
- Łaziliśmy.
- Gdzie?
- Tu i tam....
- I co jeszcze?
- No nic....

O papierosach, winie i cyckach nie sypnęliśmy.

Starzy ustanowili też zakaz wychodzenia na podwórko i spotykania się do czasu bierzmowania.

Rano do szkoły, ze szkoły powrót zgodnie z planem, wyjście na naukę do kościoła i powrót punktualnie o dwudziestej.

Najspokojniej w całej sprawie zachował się ksiądz proboszcz. Zapytał tylko, czy wieczorni spacerowicze mają wyznaczoną karę. Przytaknęliśmy opuszczając głowy.

Smutno się zrobiło. Jednak jeszcze nie byliśmy dorośli. Zostały nam trzy lata do osiągnięcia magicznej „osiemnastki”.

## Wakacje

I tak wybierzmowana, ze świadectwem ukończenia szkoły podstawowej, rozpoczęłam wakacje.

Jedną z ich atrakcji był wyjazd do rodziny, która mieszkała w dużym mieście, dwadzieścia kilometrów od Bałtyku.

Ciocia zapraszała całą rodzinę, ale rodzice nie mogli. Brat nie chciał. Ja się uparłam.

- Choruję na anginy! Często się przeziębam! A tam morze blisko! I jod jest! I będę często jeździła na plażę! - wysuwałam argumenty nie do przebiccia.

W porządku, pojedę. Tyle tylko jak tu mnie wysłać do miasta oddalonego o ponad 500 kilometrów?

Najbardziej zatroskany o mój los był tato. Ratunek pojawił się w postaci innej ciocy, takiej z Kłodzka. Obiecała, że osobiście zawiezie mnie na miejsce. Po dwóch tygodniach również osobiście mnie przywiezie. Żaden to dla niej problem, bo jest emerytką z PKP i ma darmowe przejazdy.

Nikt nie miał żadnych zastrzeżeń.

Ciocia przyjechała i ruszyliśmy pociągiem najpierw do Wrocławia. Tam miałyśmy przesiadkę. Na dworcu Wrocław Główny ciocia kazała mi wygodnie usiąść na ławce.

- Teraz słuchaj uważnie – spojrzała mi prosto w oczy – Nie jadę z tobą. Nie mam najmniejszej ochoty tuc się nawet za darmo taki kawał drogi. Wsadzę cię do pociągu i pojedziesz sama. Pociąg dalej niż do tego miasta nie jedzie więc nie będzie problemu z wysiadaniem.

Włosy stanęły mi dęba.

- Jak to sama?
- Normalnie. Ja w twoim wieku też jeździłam sama pociągami, chociaż wojna była. Nie nawiązuj przypadkowych znajomości. Pilnuj bagażu. A ja będziesz szła do sracza, zabieraj torebkę z forszą ze sobą. Aha, ojcu nigdy nie mów, że jechałaś sama.
- A mamie?
- Mama wie. Z powrotem to tamta ciotka wsadzi cię do pociągu, wysiądziesz we Wrocławiu.

Ja będę czekała na peronie i we dwie wrócimy do Wałbrzycha.

W głowie mi szumiało. Nie wierzyłam, że obdarzono mnie takim zaufaniem! Znaczą się dorosła już jestem skoro mama i ciocia pozwalają mi samej jechać prawie nad morze!

Do celu dojechałam w całości.

Na peronie czekała druga ciocia wraz z moim, o rok starszym, kuzynem. Przez pierwszy dzień przyglądaliśmy się sobie podejrzanie. Dotychczas widzieliśmy się raz czy dwa będąc w wieku żłobkowo-przedszkolnym.

Teraz mieliśmy niepowtarzalną szansę zacieśnienia więzi rodzinnej.

Wieczorem kuzyn zapoznał mnie ze swoją paczką. Większość – faceci, dwie dziewczyny, ja byłam trzecią. Najmłodszą, ale już po podstawówce, czyli prawie szkoła średnia. Niektórzy klęli, niektórzy palili, wszyscy narzekali na starych, bo to oni, a nie jakaś cenzura i socjalizm ograniczali nam wolność. Jeden grał na gitarze. Inny na harmonijce ustnej. Był piłkarz. Był też i kibic. Starsza dziewczyna znała się na modzie. Młodsza – na dzieciach, bo była najstarsza w domu i zajmowała się licznym rodzeństwem z podstawówki.

Słowem – normalne pokolenie nastolatków.

Przez dwa tygodnie nad morze pojechałam tylko raz. Nie miałam czasu. No bo skąd go wziąć, jak trzeba było iść do kina, posiedzieć na podwórku, stać na czatach, kiedy inni palili lub iść na mecz. I przede wszystkim - porozmawiać. Na żywo. Nie przez telefon czy internet. Podyskutować na temat, jak radzić sobie ze starymi. Dlaczego przegraliśmy mecz z RFN na mistrzostwach świata w piłce nożnej. Co to są środki antykoncepcyjne i jak je stosować. Słowem – morze tematów.

Chciało się rano wstać i chciało się żyć.

Zwłaszcza, że przebojem tamtego lata była piosenka „Radość o poranku”! A każdy dzień witaliśmy przebojem.

Kto wstawał pierwszy i u kogo w domu nie było nikogo, otwierał okno, wystawiał w nim głośnik gramofonu marki „Bambino” i włączał przebój. To był znak dla reszty, że czas wstać skoro świt, czyli gdzieś tak około dziesiątej. Mój kuzyn był w posiadaniu „Waterloo” ABBY i kiedy tylko mogliśmy, rano z naszego okna rozlegał się ten utwór. Z okna Marka „leciała” zwykle Anna Jantar i „Tyle słońca w całym mieście”, ktoś włączał Eltona Johna... Lokatorzy starej ponemieckiej kamienicy mieli koncert. W sumie nie wiedzieli czego słuchać. Interweniowali więc w charakterystyczny dla wszystkich dorosłych sposób.

- Wyłącz ku... tego samograj! - rozlegało się na przykład z pierwszego pietra po lewej stronie.

Bardzo nieprecyzyjne sformułowanie. Nie wiadomo do kogo skierowane, ponieważ owych samograjów, czyli gramofonów było kilka.

- Jak nie wyłączysz to ci cholero jasna nogi z dupy powyrywam! - dał się lokator z prawej

strony pierwszego piętra.

Były też ostrzeżenia i szantaże.

- No poczekaj, jak tylko rodzice wrócą z roboty, to ci dadzą piosenki na cały regulator!
- Zaraz milicję zawołam!

I najmniej skuteczna uwaga:

- Do szkoły pójde i sprawowanie ci obniżą!

Wakacje przecież były.

Pewnego dnia ciocia z wujkiem wyjechali do rodziny na wieś. Mieli być tam kilka dni. Zostawili nam pełną lodówkę i forsę na świeży chleb, mleko i oczywiście na przyjemności, żeby tak do kina na jakiś ambitny film iść na przykład.

I się zaczęło życie na maksa!

Starych nie ma, chata wolna! Oj będzie bal!

I był. Przez dwa wieczory.

Bo ktoś skontaktował się z ciotką. Nie wiadomo jak. Wtedy ani internetu, ani telefonów komórkowych nie było. Ktoś musiał mieć jakieś namiary na stacjonarny, do którego rodzina miała dostęp. Kuzyn walił się w piersi i przysięgał, że ci na wsi takiego telefonu nie posiadali.

Kto zadzwonił zatem do sołtysa – nie wiadomo. W każdym razie monitoring w postaci sąsiada zadziałał.

Starzy zjechali nagle, z wielki krzykiem, właśnie kiedy niejaki Tomek próbował się do mnie dobierać na kanapie w dużym pokoju.

Absztyfikant uciekł. Kuzyn przybiegł.

Tym razem cała kamienica słyszała tylko i wyłącznie głos ciotki. Wyznaczono nam również karę. Tradycyjną w tamtych czasach – zakaz kontaktu ze znajomymi czyli szlaban na wyjścia na podwórko. Dodatkowo musieliśmy obiecać, że następnego dnia, a był to dzień świąteczny, pójdziemy na mszę i do spowiedzi, bo nie wiadomo, co się działo podczas wieczornych libacji.

Rano wyszliśmy zatem do kościoła. Nastrój na ulicach panował odświętny. Ładnie ubrani ludzie powoli spacerowali po ulicach, sklepy pozamykane...

Tylko w okolicach kościoła za pusto.... Wchodzimy do środka. Pusto. Nawet świece nie palą się przy głównym ołtarzu.

- Ty, co jest grane? - pytam kuzyna. Może u nich inne zwyczaje?

Kuzyn wzrusza ramionami. Sprawdzamy godzinę rozpoczęcia mszy z godziną na zegarkach.

- Za pięć minut powinna się rozpocząć.... - sugeruję nieśmiało.
- Może przełożyli.... wysuwa hipotezę kuzyn – Idziemy do innego.

No to idziemy.

W drugim to samo.

Jest jeszcze kilka kościołów w tym mieście, trzeba próbować.

Zaliczyliśmy jeszcze dwa. Akurat minęła godzina, w którym w pierwszym powinna była kończyć się msza.

– Wracamy do domu. Coś tu nie gra.

Oczywiście ciotka nam nie uwierzyła w brak mszy. Uznała, że znowu coś kombinujemy i zagoniła do roboty. Święto świętem, ale przywiezione ze wsi owoce i warzywa trzeba przerobić na zimowe przetwory.

Coś tam przerabialiśmy. Co jakiś czas ktoś wołał nas z podwórka. Kuzyn wstawał i krzyczał przez okno, że nie wyjdziemy, bo mamy szlaban. Oczywiście, że cała kamienica słyszała.

Kiedy wszystkie słoiki zostały wypełnione, usiedliśmy wspólnie przed telewizorem. Rozpoczął się „Dziennik Telewizyjny”.

„ Witamy państwa serdecznie w ten szczególny świąteczny dzień. Dziś Narodowe Święto Odrodzenia Polski. 22 lipca 1944 roku, po prawie 5 latach II wojny światowej ogłoszony został Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.”

Trudno zgadnąć kogo najbardziej przytknęło z siedzących przy telewizorze osób. Pierwszy gest wykonał kuzyn wstając z kanapy i pokazując palcem wskazującym na telewizor. Ja nabrałam powietrza do płuc i na pełnym oddechu powiedziałam:

– No właśnie!

Kuzyn dodał:

– I dlatego nie było mszy!

Ciocia i wuj zrozumieli, że popełnili błąd wysyłając nas do kościoła na mszę właśnie 22 lipca. Nie każde święto w PRL-u było świętem kościelnym.

Kiedy szok w rodzinie minął, ciocia nieśmiało zapytała, czy nie zechcielibyśmy spotkać się z kolegami na podwórku. Jasne, że chcieliśmy.

Czekali na nas w krzakach za śmietnikiem. Mieli jeszcze po łyku wina i po papierosie dla nas.

Wiadomo, święto było. I zupełnie nieważne jakie. W każdym razie hucznie obchodziliśmy 30-lecie PRL-u.

**1976**

**Wyjazd niekontrolowany**

Moi rodzice przeprowadzili się do Łomży. Były to rodzinne strony ojca. W związku z tym, że wraz z bratem byliśmy niepełnoletni, też musieliśmy się tam przeprowadzić. Brat szybko zaaklimatyzował się w nowym otoczeniu. Ze mną było gorzej.

Wmawiano mi, że Łomża to taka enklawa spokoju, ciszy i ekologii. Tu trawa zielona, woda czysta, a ludzie prości.

Prawie wszystko się zgadzało. Była to miejscowość pięciokrotnie mniejsza niż Wałbrzych, zatem musiało tu być więcej zieleni. Wszak ulic było mniej.

Była rzeka, ale bardzo niebezpieczna, bo z wirami i nie zalecano kąpieli w niej. W ciągu dalszych lat mego pobytu tutaj i rozwoju przemysłu w miasteczku, rzeka straciła statut czystej i w ogóle zabraniano do niej wchodzić.

Z ludźmi jakoś nie bardzo mogłam się dogadać, bo nie miałam zielonego pojęcia o życiu w Nowym Jorku, a prawie wszyscy mieli tam rodzinę.

Do tego rozpoczęłam naukę w szkole, która była ponoć elitarna, a ze mnie żadna elita. Rodzice reprezentowali klasę robotniczą.

Kiedy w szkole wypowiedziałam słowo „pylica”, nauczycielka zwróciła mi uwagę, że rzeka w Polsce nazywa się Pilica, a nie Pylica. Odpowiadam, że ja o takiej chorobie, pylicy od pyłu, a ona, że takiej choroby nie ma, bo pył nikomu jeszcze nie zaszkodził.

Ręce mi opadli....

Dobra, nie o tym będziemy pisać. Na dzieci wiatru i kurzu, znaczy się tumany, szkoda czasu i klawiatury.

W każdym razie życie obróciło się o 180 stopni. Ojciec już nie wracał ok. 15.30 i mama nie podawała mu zupy. Jedno i drugie pracowało na „zmiany”. My z bratem też mieliśmy inne rozkłady lekcji, co sprawiło, że rodzinne dyskusje nad pomidorową po rosole odeszły w zapomnienie. Zasada była prosta – kto przychodził na chatę pierwszy, obierał kartofle i czekał na kolejnego członka rodziny, by nie zjadać posiłku w samotności. Kto wracał ostatni, ten żarł sam.

Rodzice przynosili wieści „z pracy”, bo miasteczko było tak małe, że to samo co w pracy powtarzano „na mieście”.

Mama informowała o najnowszych trendach w modzie oraz nowych przepisach na babkę piaskową. Ojciec natomiast tłumaczył, jaka jest różnica między orką a podorywką. Dla nas, wychowanych w mieście średniej wielkości, tematyka rolnicza brzmiała jak sceny fiction.

Tymczasem tato mierzył się z nią każdego roboczego dnia. W Łomży bowiem postanowiono rozwinąć przemysł i wybudowano fabryki. Jedna przerabiała bawełnę, druga kartofle. Do obu dojeżdżali ludzie z okolicznych wsi, bo najbliższe drugie miasto znajdowało w odległości 25 kilometrów i też zabrało się za bawełnę.

Chłopo-robotnicy (tak nazwano owych pracowników) obrabiali swoje kilkuhektarowe



gospodarstwa rodzinne, a w czasie wolnym wskakiwali na osiem godzin do fabryki. Tato początkowo nie rozumiał, dlaczego chowają się wśród worków z brazylijską bawełną. Myślał, że może chorzy...

Szybko jednak zakumał, że taki chłopo-robotnik przed nocną zmianą najpierw musiał wydoić krowy i nakarmić świnie. O podorywce na polu w ciągu dnia nie wspominając. Skąd miał więc brać siłę na pracę w fabryce? Trochę więc popracował, pogadał z kolegami, pospał, a rano wracał ponownie doić krowy, oporządzać świnie i siać oziminę.

Moi nowi koledzy też spędzali czas inaczej niż ja. Dotyczyło to głównie wakacji. Jeździli do babci na wieś. Pomagali w żniwach, w dojeniu krów, a nawet uczestniczyli w zabijaniu świni z przeznaczeniem na schabowe.

Ja babci na wsi nie miałam. Co tam, na wsi... w ogóle nie miałam. Wakacje spędzałam najpierw na koloniach, potem na obozach. I oczywiście w Wałbrzychu!

Na moje szczęście pozostał tam wuj, który będąc moim chrzestnym, nie mógł mi zabronić pobytu u siebie. Do tego w pobliskim Kłodzku mieszkały ciocie ze strony mamy. Też chętnie mnie przyjmowały.

Dziwne to były czasy.... Jak za komuny .... spokojne i bezproblemacyjne. Taka małolata bez problemu wsiadała w pociąg i mogła spokojnie pokonywać 600 kilometrów w warunkach różnych. Czasami w przedziale, czasami na korytarzu, czasami blisko śmierdzącego kibla. Nikt się nikogo nie czepiał, każdy jechał. W takich podróżach, zapoczątkowanych wyjazdem nad prawie morze, nabywałam coraz więcej doświadczenia.

I właśnie w czerwcu 1976 roku wyruszyłam w podróż na rodzinną ziemię. Tym razem miałam najpierw odwiedzić ciocie w Kłodzku....

## **Kawa z Bogatyni**

W owych czasach ludziom powodziło się całkiem nieźle. Mama przestała robić przetwory na zimę, bo się nie opłacało. Taniej było w sklepie. Wyglądało na to, że Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej – jak mawiał towarzysz Gierek. Co prawda zniknęło gdzieś słynne „Pomożecie?” z odzewem - „Pomożemy!”, ale w sumie spokojnie było. Ja w każdym razie w takowym błogim spokoju sobie żyłam w miasteczku Polski B....

Owego historycznego dnia, 24 czerwca spokojna nie byłam. Raczej podniecona. Tak normalnie jak na nastolatkę przystało. Rodzice poszli na imieniny do jakiegoś Jana lub Janiny, brat zamknął się w

swoim pokoju, a ja pakowałam się w wielką torbę podróżną. Rano miałam ruszyć na wakacje do rodziny w dalekim Kłodzku i Wałbrzychu.

Tego samego dnia, w sejmie, ówczesny premier Jaroszewicz ogłosił drastyczną podwyżkę cen podstawowych artykułów spożywczych. Ogłosił również system rekompensat za owe podwyżki. Nowe ceny miały wejść w życie od poniedziałku 28 czerwca 1976 roku, po konsultacjach społecznych. Żarcie mięsne miało podrożeć o 69 procent, drób o 30 procent, masło i nabiał o 50 procent, a cukier o 100 procent. Zarabiający najmniej, a więc poniżej 1300 złotych, mieli otrzymać 260 złotych rekompensaty, a ci z najwyższymi pensjami powyżej 8000 złotych – nawet 600 zł więcej.

Po wielu latach ekonomiści i historycy sprzeczaali się o to, czy owa podwyżka nie była po prostu .... konieczna. Dziś bowiem wiemy, że to tzw. „rynek” reguluje ceny. Wtedy robił to komitet centralny wiadomej partii. Gdyby w 1970 podwyżka przeszła, mniejsza byłaby w 1976....

Czy to prawda, czy nie – nie wiem.

Co by nie było, o planowanej podwyżce nie wiedziałam. Rodzice z imienin wrócili późną nocą, a ja z rana ruszyłam w podróż.

Najpierw pociągiem do stolicy. Tu czekała na mnie nie lada atrakcja. Miała na imię Ryszard i była wysokim przystojnym blondynem. Poznaliśmy się na placu zabaw, kiedy zimą byłam z wizytą u rodziny i kazano mi zająć się małymi dziećmi. Od tamtej pory pisaliśmy do siebie namiętne listy, zdarzyło się nam również kilka razy porozmawiać telefonicznie. Dwudziestego piątego czerwca 1976 roku mieliśmy spotkać się ponownie. Opracowaliśmy nawet dwa plany.

Pierwszy nie wypalił już po wyjściu z pociągu na dworcu Warszawa Wschodnia. Ryszarda nie było. Widocznie nie dostał wolnego w pracy, wszak był już osobą pełnoletnią i zarabiał sam na siebie. Plan B przewidywał wykonanie przeze mnie telefonu do jego zakładu pracy.

Wielką torbę oddałam do przechowalni bagażu. Odnalazłam czynny automat telefoniczny.

Wyciągnęłam jedną z przygotowanych na tę okoliczność monet i notatnik z numerami. Wybrałam numer.

- Wielkie zakłady w stolicy. Słucham – odezwał się beznamiętny damski głos.
- Wewnętrzny 35 proszę.
- A w jakiej sprawie?

A co panią to obchodzi – chciałam zapytać. Wszak nigdy nikt mnie o coś takiego nie pytał, jeśli dzwoniłam i prosiłam o połączenie z podanym tzw. numerem wewnętrznym.

- Prywatnej.

Zdecydowałam się na odrobinę kultury. Po chwili odezwał się kolejny damski głos, nieco łagodniejszy.

- Słucham.

- Proszę z Ryszardem B.
- A w jakiej sprawie?

Uwzięli się na mnie, czy co?

- Prywatnej.
- A jak pani się nazywa?

Przesłuchanie? KGB? CIA? Mosad? Kapitan Kloss?

- A co to panią obchodzi? - zapytałam zachowując nadal kulturę.
- Przykro mi, ale muszę o to wszystkich pytać... - głos w słuchawce stał się nieco cieplejszy.

Skoro mus, to mus. Przedstawiłam się.

- Kim jest pani dla Ryszarda B?
- No, dziewczyną, znaczy się narzeczoną....
- Proszę poczekać. Zaraz wywołam.

Przez słuchawkę usłyszałam wypowiedane do fabrycznego głośnika nazwisko Ryszarda. Szybko podszedł do telefonu. Był w pobliżu, bo wiedział, że będę dzwonić.

- Cześć Rysiu.... - przywitałam go zalotnie.
- Cześć. Słuchaj, nie mogę długo rozmawiać. Przyjedź pod zakłady. Kończę pracę o czternastej.
- Ale....
- Wszystko ci wyjaśnię. Wiesz, jak tu dojechać?
- Nie.
- To zapamiętaj. Z Alei Jerozolimskich tramwajem nr ..... tu jest pętla. Teraz muszę kończyć.

Co się stało? Skąd ten urzędowy ton? Żadnej czułości? Żadnego „kocham cię, stęskniłem się”?

Cóż, nie pozostało mi nic innego, jak udać się na zwiedzanie stolicy, którą i tak dobrze znałam...

Po zjedzeniu lodów i „ambrozji” w słynnym Hotexie na Marszałkowskiej, wjechaniu po raz enty na trzydzieste piętro Pałacu Kultury i Nauki, wsiadłam we właściwy numer tramwaju i pojechałam do pętli.

O oznaczonej godzinie z zakładu wysypali się robotnicy. Ryszard szybko podbiegł do mnie:

- Spierdalamy stąd! - syknął nad uchem, chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę jednego z tramwajów.
- Dlaczego mamy spierdalać?
- Bo ja się nie chcę do tego mieszać.

W tramwaju szybko zajęliśmy miejsca siedzące. Wagon równie szybko wypełnił się ludźmi. Byli bardzo podnieceni i nie miało to żadnego związku z seksem. Próbowалаm zapytać o co chodzi, ale mój chłopak nie był skory do wyjaśnień. Dowiedziałam się tylko, że jedziemy do niego do domu i tam mi wszystko wyjaśni.

Jakiego domu? Miał być romantyczny obiad w Łazienkach, Królewskich do tego? Wokół mnie działo się coś, czego nie kumałam.

Dopiero w M-ileś zajmowanym przez rodzinę Ryszarda dowiedziałam się o przemówieniu, podwyżkach i niesprawiedliwych rekompensatach.

- .... i dziś u nas ludzie też przeciwko temu zastrajkowali.... ja też.
- To co robiłeś?
- Najpierw czekałem na telefon od ciebie, a potem leżałem na trawie i opalałem się. Przecież wakacje się zaczęły.

Jasne, wakacje się zaczęły. Zanim z pracy wróciła rodzina Ryszarda, wymieniliśmy kilka uścisków. Rodzice mego znajomego przynieśli z miasta i z pracy sporo nowości. Oczywiście, że podniósł się bunt przeciwko podwyżkom, ale w samej Warszawie jest cicho. Bunt jest głównie w Radomiu i Ursusie, gdzie produkowano wówczas najlepsze ciągniki, jak twierdziła propaganda, na świecie.

- Rety, mój pociąg jedzie przez Ursus!
- To niedobrze. Na mieście mówią, że tam tory rozkręcono. Zablokowano cały przejazd kolejowy – oznajmił przyszły niedoszły teść.
- A co mówią w pracy? - zapytałam, pamiętając z Wałbrzycha, iż wieści z pracy są bardziej prawdopodobne niż wieści z miasta.
- To samo.

Mina mi zrzędała. To jak ja się dostanę do Kłodzka?

- Najwyżej nie pojedziesz. Zostaniesz u nas.

Spojrzałam na Ryszarda. Jemu też pomysł mamy się spodobał.

Dalszą część dnia spędziliśmy osobno. To znaczy rodzice Ryszarda siedzieli w pokoju przed telewizorem, a ich syn wraz ze mną w swoim pokoju. Słuchaliśmy płyt, winylowych oczywiście, z adapteru, zwanego w niektórych kręgach gramofonem. Bliskość starych za ścianą nie pozwalała nam na równie bliskie kontakty międzypłciowe. Pozostały przyciski, uściski i drobne cmoknięcia. Nie było wówczas standardowego pukania do drzwi pokoju dziecka. Rodzic wchodził jak do siebie. I nic w tym dziwnego, wszak on był właścicielem mieszkania. Oprócz spółdzielni mieszkaniowej rzecz jasna.

Tak więc w pewnym momencie do pokoju Ryszarda wparował ojciec.

- Odwołali podwyżki – oznajmił.

A więc stało się. Będę musiała jechać do Kłodzka. A mogło być tak pięknie...

- Polski robotnik ma jednak swą siłę – dodał odchodząc i pozostawiając otwarte drzwi.

To był bez wątpienia znak dla mnie, że czas opuszczać gościnne progi.

- To ja jadę na ten dworzec.... pociągi pewnie jeżdżą już normalnie.... -

powiedziała z nadzieją, że jednak ktoś mnie zatrzyma, powie, że niebezpiecznie...

Nic z tego. Rodzice pokiwali głową na znak potwierdzenia. Ryszard oczywiście włożył buty i miał mnie do pociągu wsadzić.

Kiedy wychodziliśmy, przysła niedoszła teściowa zatrzymała nas na moment:

- Gdybyście zauważyli, że coś jest nie tak, bierzcie tę jej torbę i wracajcie natychmiast. Masz tu pieniądze na taksówkę. A tu masz kanapki na drogę.

Wcisnęła chłopakowi do dłoni banknot o dużym nominale, a mnie dużą papierową torbę. Wiadomo, taksówki w stolicy zawsze były drogie, a droga przede mną daleka.

Bez problemu dotarliśmy na dworzec Warszawa Wschodnia. Odebrałam torbę z przechowalni.

Usiedliśmy w obskurnej poczekalni i przyglądaliśmy się nocnemu życiu dworca. Tu spał pijaczek,

tam zataczał się drugi. Tam i z powrotem chodzili milicjanci i patrole WSW (Wojskowa Służba

Wewnętrzna) kontrolujące żołnierzy przymusowej służby zasadniczej będących na przepustkach.

Podróżnych jakby trochę mniej, ale to było zrozumiałe. Ludziska wystraszyli się podwyżki cen, ich konsekwencji i wieści z miasta o tajemniczych wydarzeniach w Ursusie.

- W sumie nawet dobrze. Tłoku w pociągu nie będzie – skomentowałam zmniejszony ruch na dworcu.

Pociągi odjeżdżały punktualnie. Większość rozpoczynała właśnie na tym dworcu swą trasę, były więc wcześniej podstawiane na perony. Dworcowy megafon zapowiadał wszystko dokładnie i donośnie.

- „Pociąg pośpieszny Karkonosze do Jeleniej Góry, Kudowy Zdroju i Stronia Śląskiego podstawiony będzie na tor... przy peronie.... Planowy odjazd pociągu godzina 22.05.” - odezwał się głośnik.

Czas ruszać w daleką podróż. Przede mną prawie 500 kilometrów, prawie 10 godzin w pociągu. Na peronie wycelowaliśmy się namiętnie obiecując, że niebawem się spotkamy. Wszak będę wracała do domu znowu przez Warszawę.

W przedziale, do którego wsiadłam, były cztery osoby - starsza pani, starsze małżeństwo i młody chłopak z błyskiem w oku. Zająłam miejsce przy korytarzu.

Pociąg dostojnie i powoli ruszył. Zaraz się rozpędzi, przejedzie mostem nad Wisłą, zatrzyma się na Centralnym, potem na Zachodnim i pogna ze średnią prędkością 70 na godzinę w góry Karkonosze. No więc czekam, kiedy się rozpędzi.

A on nic.

Dalej jedzie dostojnie i powoli.

Zatrzymuje się na torze przy nędznym przystanku kolejowo - autobusowym Warszawa Stadion.

Rusza.

Żółwim tempem wtacza się na most kolejowy.

Dlaczego znowu stajemy?

Warszawa Powiśle?

Kiedy znowu ruszymy?

Do naszego przedziału wkrada się niepokój.

- Coś tu nie gra – zauważa chłopak z błyskiem w oku.
- Ma pan rację.... - potwierdza mąż.

Właśnie stoimy przy peronie przeznaczonym dla pociągów podmiejskich. To nienormalne.

- Pójdę i zobaczę.

Przez okno zobaczyliśmy, że chłopak wyskoczył na peron. Nie tylko on. Kilka innych osób też uznało sytuację za dziwną. Natychmiast rozległ się ostry głos konduktora:

- Wsiadać do pociągu!
- Panie, ale co się dzieje?! - posypały się pytania.

Konduktor westchnął:

- Nie wiem.... ale proszę nie wychodzić! W każdej chwili możemy ruszyć!

I ruszyliśmy. Przetoczyliśmy się kilkadziesiąt metrów i znów stanęliśmy. Najgorzej było w tunelu prowadzącym do Warszawy Centralnej. Zaduch i smród.

Dlaczego smród? Ówczesne pociągowe toalety zbudowane były na prostej zasadzie. Siadał człowiek na desce klozetowej, a pod spodem miał otwór. To, co natura wyrzuciła z organizmu, lądowało na torowisku. W ubikacji znajdował się napis „Nie korzystać z toalety podczas postoju pociągu!”.

Weź tu nie korzystaj, jak ten pociąg prawie cały czas stoi, a człowiekowi się chce!

Do Warszawy Centralnej dojechaliśmy z dużym opóźnieniem. Tu też wsiedli ludzie. Do naszego składu dołączył starszy pan, chłopak bez błysku i dziewczyna w moim wieku. Zrobiła się klasyczna równowaga biologiczna. Tym razem wsiadający mieli wieści. Niekoniecznie prawdziwe, ale bardzo prawdopodobne.

- Ponoć w Ursusie tory rozkręcone – rzekł chłopak bez błysku.
- A ja słyszałem, że w ogóle rozebrane .... - dodał starszy pan bez małżonki.

Ten z małżonką zapytał zdziwiony:

- To po co pan jedzie?
- Do sanatorium, do sanatorium.... ale pan też jedzie ....
- My ze Wschodniego wyjechaliśmy punktualnie.... - dodałam.

Inni dokończyli za mnie. Powiedzieli o postoju na Stadionie, na Powiśle i smrodzie w tunelu. Moja rówieśniczka szepnęła cicho:

- A ja słyszałam, że w Ursusie rozruchy...

Starsi w przedziale zadrżeli.

- Jak w siedemdziesiątym.... na Wybrzeżu...

Po cichu zaczęli przypominać tamte czasy porównując z dniem dzisiejszym. Też była podwyżka, też robotnikom się to nie spodobało.... Wtedy do nich strzelano. Czyżby i teraz?

W przedziale zapanował nastrój grozy.

Do dworca Warszawa Zachodnia dojechaliśmy po trzydziestu minutach. To, co zobaczyliśmy, przeszło nasze wyobrażenia.

Na każdym torze stały pociągi. Jeden za drugim. Wszystkie, które planowo odjechały z Warszawy Wschodniej, zatrzymały się na Zachodniej. Na peronach panował ruch jak na Marszałkowskiej. Ludzie wysiadali i nikt im nie kazał wracać do przedziałów. Większość biegała próbując dowiedzieć się czegokolwiek od kolejarzy. Ci, albo wzruszali ramionami, albo machali rękoma dodając przy tym „A daj pan spokój”. Żaden nie potrafił odpowiedzieć, kiedy cały pociągowy konwój ruszy ponownie.

Z naszego przedziału na zwiady poszli młodzi faceci. Gdy wrócili, mieli interesujące wiadomości. Nie, nie na temat Ursusa.

- Wiecie co, my to mamy dobrze! - zaczął młody bez błysku – Nasz pociąg stoi przy peronie. Można spokojnie wyjść, pogadać z ludźmi.
- Inni mają gorzej! Przed nami stoi Bogatynia! Połowa pociągu w szczerym polu! Żeby dostać się na peron, ludzie muszą przejść przez pół pociągu! - kontynuował młody z błyskiem.
- I to jeszcze nie jest złe, bo za nami też stoi pociąg! Wszystko w szczerym polu!

Jak to? Za nami też stoi pociąg?

- No kurwa stoi! Wszędzie pociągi. Same pociągi! - zaśmiał się błysk.

Pan bez żony też się zaśmiał:

- Jak na dworcu. Same pociągi.

Atmosfera w przedziale wyluzowała. Zaczęły się dowcipy, wspomnienia jak to ongiś bywało, zwłaszcza w czasie wojny, bo panowie wojnę przeżyli. Było o przepisach na babkę piaskową i szarlotkę. Tematem numer jeden był jednak sport. Wszak już niedługo rozpoczną się igrzyska olimpijskie w Montrealu. Kto ma szansę na medal? Jak pobiegnie nasza Irenka, już wówczas Szewińska? Czy Hubert Wagner zameczy siatkarzy, czy też nie? Nie na darmo nazywa się go „katem”. Jakie szanse mamy w boksie? A piłkarze? Kolarze?

W pewnym momencie zapachniało nam kawą. Taką naturalną, świeżo mieloną i świeżo parzoną kawą. Taką, jaka tylko w PRL-u być mogła.

Przez okno zobaczyliśmy mężczyznę niosącego szklankę z kawą. Potem drugiego delikatnie przytrzymującego szklankę z gorącym napojem stojącą na spodeczku. Skąd na dworcu zachodnim

25 czerwca 1976 roku wzięła się kawa?

Proste odpowiedzi są najtrudniejsze.

Z wagonu restauracyjnego. Nasz pociąg nie był w takowy wyposażony, ale przecież wokół było tyle pociągów zwanych dalekobieżnymi, że w części z nich na pewno słynny „Wars” jest.

- Panie, skąd ta kawa? - zapytał przez okno ten z błyskiem.
- Z Bogatyni.
- Dziewczyny, chcecie kawy? - szybko zapytał pokazując zęby bez górnej trójki.
- Jasne, że chcemy! - odparłyśmy pokazując wesoło swoje uzębienie, w którym też były braki.

Chłopak chwycił za ramię towarzysza podróży bez błysku i szybko wybiegli z pociągu. Wracali powoli niosąc pełne aromatu szklanki. Tym razem były w tzw. koszyczkach – specjalnych uchwytych pozwalających na trzymanie napoju w rękach.

W przedziale zapachniało.

- Też bym się napiła .... - westchnęła żona patrząc na męża. Ten przytaknął. Miał jednak problem.
- Cholera, nie doniosę. Ręce mi się trzęsą.
- Nie ma sprawy. Przyniesiemy – zaproponował bezbłyskowy i wyciągnął dłoń po pieniądze – A pani? - zwrócił się do samotnej starszej.
- Też bym się napiła...
- Nie ma sprawy – poderwał się błyskowy.

Starszy samotny pan od razu oznajmił:

- Ja nie chcę.... serce....

Poparł go żonaty:

- Ja też nie mogę....

Kiedy do pociągu dotarły dwie kolejne kawy rozpoczął się etap podróży, zwany współczesnym językiem – integracyjno-rozrywkowym. Wyciągnęliśmy podróżny prowiant. Okazało się, że do kawy, czyli coś na słodko, każdy coś miał. Nawet ja, w zestawie otrzymanym od mamy Ryszarda, znalazłam kawałek szarlotki.

W związku z brakiem w przedziale stołu wielkości mogącej pomieścić żarcie, starsi panowie przypomnieli sobie, jak bywało za ich czasów.

Z półki zdjęli walizkę, położyli na kolanach.

- A teraz w „oczko” panowie! - zaśmiał się żonaty – Tak kiedyś grywaliśmy w karty jadąc pociągiem. Na zapalki oczywiście.

Samotny dorzucił:

- Ostry pokerek też się zdarzał. Oj zdarzał.



Rozpoczęła się uczta. Domowe ciasto mieszało się z czekoladą mleczną i landrynkami. Furorę robiły najbardziej tradycyjne ciasteczka zwane herbatnikami. Najtańsze, najlepsze są do dziś. Starsi pasażerowie nadal wspominali stare, dobre czasy, a młodzież o dziwo słuchała. Okazało się bowiem, że dorośli w naszym wieku wcale tacy grzeczni nie byli. Żeby zobaczyć mecz piłki nożnej, wskakiwali na stadiony przez ogrodzenia. W podstawówce w „kiblach” palili papierosy, a wino marki „Wino”, zwane inaczej „patykiem pisane” popijali ukradkiem w piwnicach. Podrywali dziewczyny metodami znanymi dzisiaj jako molestowanie, a owe dziewczyny piszczwały z radości, że mają wzięcie.

- A jak ja swoją starą poznałem? Na zabawie w remizie. Wzięłem do tańca i łap za cycki! - zaśmiał się mąż.

Żona udała zgorszona:

- No wiesz stary, takie rzeczy opowiadać. Młodzież słucha....
- Niech się uczy!

Nie było jak wypróbować nauk męża. Co z tego, że były cycki.... Nie było remizy, nie było tańców... Był tylko przedział w pociągu stojącym już drugą godzinę na śmierzącym dworcu Warszawa Zachodnia.

- No stara, wyciągnij .... pod te stare, dobre czasy... - mrugnął do żony autor nieprzyzwoitych wspomnień.

Żona otworzyła dużą torbę, którą trzymała na siedzeniu pod oknem. Światu ukazała się półlitrowa butelka z czerwoną naklejką, charakterystyczną dla najpopularniejszego napoju czterdziestoprocentowego w ówczesnej Polsce.

- To nie byle co, to swojska wódka. Zdrowa, z polskich ziemniaków. Sam robiłem – oznajmił szeptem mąż.

Samotny pan rozejrzał się z niepokojem wokół:

- W pociągu to można tylko piwo....
- E tam, kto będzie nam zabraniał. Oni mają teraz ważniejsze sprawy na głowie. Zastanawiają się co z nami zrobić. Jest tylko jeden problem.... kieliszka nie mamy...

I wtedy odezwała się najbardziej milcząca starsza pani:

- Może i coś by się znalazło...

Z czarnej torebki wyciągnęła małą metalową „piersiówkę”, która zamykana była tzw. „naparstkiem”, służącym do picia zawartości pojemnika.

- Bo ja tak sobie biorę trochę wiśnióweczki na drogę, tak na rozgrzewkę.... - próbowała się wytłumaczyć z posiadania tajnego naczynia na alkohol.

Wszyscy machnęli na te słowa ręką. Czerwiec, lato, temperatura wybitnie plusowa... kto uwierzy w rozgrzewkę. W każdym razie mieliśmy podzielnik. I dobrze nam się dzieliło zdrowy, na naturalnych

produktach napój wysokowy.

W trakcie wznoszenia toastu „za zdrowie pań”, zachrzącił dworcowy głośnik.

– Pociąg pospieszny do.... stoi na torze.... przy peronie.... planowy odjazd pociągu o 1.32.

Spojrzeliliśmy na zegarki. Za dziesięć minut. Zatem ruszamy w dalszą podróż.

Pociągi ruszały średnio co dziesięć minut, w takiej samej kolejności, w jakiej wyruszały z dworca Wschodniego. Przed nami odjechała Bogatynia. Wreszcie i na nas przyszła kolej, żeby kolej wypuściła nas w Polskę.

Kiedy ruszyliśmy, w pociągu zaległa cisza. Wszyscy stanęli przy oknach w przedziałach i na korytarzu. Mijaliśmy Ursus.

Nic się nie działo. Ciągniki stały grzecznie na placu. Ulice były oświetlone. Ktoś dostrzegł jadącą ciężarówkę, inny tzw. „polewaczkę”, duże auto rozbryzgujące wodę na jezdnię w celu umycia jej....

Wróciliśmy na swoje miejsca. Zasłoniliśmy okno i drzwi. Wreszcie dopadło nas zmęczenie.

Próbowaliśmy zdrzemnąć się.

Na dworze świtało.

Do Wrocławia dojechaliśmy z pięciogodzinnym opóźnieniem. Po drodze zatrzymywaliśmy się w szczerym polu, na stacjach, na których pośpieszne nie zatrzymują się.

Opuścił nas starszy pan i dwóch chłopaków. Wyściskaliśmy się i pożyczaliśmy sobie wzajemnie kolejnego spotkania w podróży, tym razem bez nieplanowanych postojów. Nasz pociąg podzielono na dwa. Jeden pojechał do Jeleniej Góry, drugi do Kudowy i Stronia.

W trakcie przetaczania wagonów, usłyszeliśmy, że pociąg pospieszny z Warszawy Wschodniej do Bogatyni jest opóźniony o sześć godzin, a opóźnienie może ulec zwiększeniu. Wiadomo, ten jechał przez Radom. Zastanawialiśmy się, czy pasażerom wystarczyło kawy....

W Kłodzku opuściłam przedział. Podziękowałam za przyjemną podróż. Pomachałam ręką na pożegnanie.

Bo dziwne to były czasy.... człowiek spędzał czas z nieznajomymi w pociągu, opowiadał intymne szczegóły z życia, a potem wysiadał, zapominał twarze.... historie.... A w drodze powrotnej ponownie spotykał nieznajomych, ponownie opowiadał .... W swoim życiu ani razu ponownie nie spotkałam nikogo ze swych pociągowych znajomych....

Taksówką dotarłam do małego domku swej rodziny. Otworzyłam furtkę, zaciągnęłam się wonią różanego ogrodu. Po cuchnącym dworcu i w sumie nie mniej pociągu, zapach róż na chwilę mnie odurzył. Nacisnęłam klamkę w drzwiach. Tu nigdy się nie pukało.

Zamknięte.

No nie, jeszcze tego brakowało.

Już chciałam udać się na drugą stronę domu, gdzie był ogród warzywno-sadowniczy, by zasnąć w cieniu porzeczek i jabłoni, kiedy przypomniała sobie, gdzie jest klucz.

Pchnęłam mocno jedno z okienek korytarza, sięgnęłam ręką. Był.

Weszłam do środka. Ponownie zamknęłam drzwi na klucz i odłożyłam go na poprzednie miejsce.

Skorzystałam z toalety. Wmyłam ręce i twarz. O nie, na razie żadnej kąpieli, żadnego prysznica.

Wtoczyłam się na poddasze, które zajmowała ciocia. Z kuchni wchodziło się do pokoju. Zrobiłam sobie herbatę, kanapki i zamknęłam się w pokoju. Wypiłam, zjadłam i zasnęłam jak niemowlę.

Kiedy się obudziłam, przez okno zaglądało słońce. Racja, tu jest bardziej zachód niż południe.

Zbliżała się osiemnasta. Za drzwiami w kuchni słyszałam kroki i pochrząkiwania. Pewnie ciocia.

Kochana, dała mi się wyspać. Wstałam, przeciągnęłam się i otworzyłam drzwi.

Ciocia stała ze szklanką w dłoni.

Upuściła ją.

Herbata rozlała się po podłodze.

Przeraźliwie krzyknęła.

Ciocia, nie herbata.

Obok niej na szczęście stało krzesło.

Usiadła.

Z dołu przybiegła kuzynka.

Za nią kuzyn.

O rety, ale mam wejście – przemknęło mi przez myśl.

- Boże, co się stało!?! - ryknęła kuzynka – Ciociu, co ci jest? A ty skąd się tu wzięłaś?
- No ja, z pokoju... - odezwałam się cicho i niepewnie, bo nadal robiłam za ducha lub bliżej nieokreślone widmo.

Kiedy ciocia już doszła do siebie, opowiedziałam historię podróży. Przez kilka dni byłam bohaterką rodziny. W Wałbrzychu też. Wszędzie kazano mi opowiadać, jak mijałam Ursus i ile opóźniony był pociąg do Bogatyni. O kawę nikt nie pytał.

A potem wszystko umilkło. Siedemnastego lipca rozpoczęły się Igrzyska Olimpijskie w Montrealu. Nocami pasjonowaliśmy się meczami piłki nożnej, ręcznej i oczywiście siatkówki. Podziwialiśmy naszą Irenę ustanawiającą rekord świata na 400 metrów. Zdobyliśmy 26 medali olimpijskich, w tym siedem złotych.

A Ryszard? Cóż, wspólne nocne oglądanie sportowej rywalizacji zapocentowało nowymi znajomościami. Ryszard zniknął z mego życiorysu. A czy w ogóle był?

1978

## Partia

Przełom 1977/78 był szczególny w moim życiu. Ostatnia klasa liceum, zatem najpierw studniówka, potem matura.

Z pierwszą imprezą, w przeciwieństwie do moich koleżanek z klasy, nie miałam problemu. Partner był. Regularny i własny chłopak. Podczas gdy inne dziewczyny szukały, ja chodziłam na randki.

Sen z oczu spędzała mi matura. Z matematyki. Do dziś należę do niezidentyfikowanej grupy społeczeństwa, która myli się w liczeniu nawet na kalkulatorze. A ówczesna matura składała się z dwóch przedmiotów obowiązkowych: właśnie matmy i oczywiście polskiego. Jeśli chodzi o drugi to problem polegał na tym, czy zdam na „piątkę” czy na „czwórkę” („szóstek” wtedy nie było).

Kolejne dwa przedmioty były do wyboru. W moim przypadku wielkiego wyboru nie było: ponownie polski i historia. I ponownie problem – „pięć” czy „cztery”.

Co zrobić z matką?

Kilkakrotnie ocierałam się z tego przedmiotu o ocenę niedostateczną na półroczu lub rok szkolny....

- Mamo, może byś poszła do matematyka, poprosiła o jakieś korepetycje.... da się mu zarobić.... to może pomoże na tej maturze.... - szepnęłam pewnego dnia, kiedy byłyśmy same.

Mama zdawała sobie sprawę z mej słabości do cyferek, wzorów skróconego mnożenia i układów współrzędnych. Uznała, że dziecko trzeba ratować. Poszła do nauczyciela.

Wróciła w złym nastroju. Z jednej strony ulżyło jej, bo podjęła próbę, z drugiej – w fatalnym.

Matematyk spojrział na nią i kręcąc głową rzekł:

- To pani nie ma na co pieniędzy wydawać? Przecież ona (znaczy się ja) nigdy się tej matematyki nie nauczy. Tuman matematyczny i tyle.

Dziś nazwanie ucznia dzieckiem wiatru i kurzu pewnie jest karalne. Dziś uczniowie mają dysleksję, dyskalkulię, ADHA i inne przygwizdy. Wtedy charakteryzowało kogoś, kto za chiny ludowe konkretnego przedmiotu nauczyć się nie mógł.

Nie było więc ciekawie.

Co prawda zawsze z matematycznych opresji wyciągali mnie nauczyciele humaniści, że niby jestem talent humanistyczny i historię zarówno literatury, jak i Polski znam na wrywki. Ale co taki polonista na maturze pomoże? Sam pewnie tuman.

Szansa otworzyła się tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

Otóż kilku nauczycieli zaczęło agitować młodzież klas maturalnych do wstąpienia w szeregi

jedynej słusznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. O dziwo byli to nauczyciele z grupy w miarę normalnych i lubianych przez uczniów. Wśród nich – matematyk.

Czym do tej pory w moim życiu była partia?

Właściwie to .... niczym. Była, bo była. Rządziła, bo rządziła. Ktoś musiał rządzić. Mówiono, że ci co do niej należą, mają lepiej. W sumie jakoś tego w swoim środowisku nie zauważyłam. Chyba była nawet przeciwnie. Dziś powiedzielibyśmy, że byli ofiarami hejtu.

Ale czasami się taka partia przydawała. Oto kilka lat temu moja mama po dwunastu latach wychowywania dzieci postanowiła wrócić do pracy i to do tej, którą porzuciła po moim urodzeniu. Proste to nie było. Ale partia pomogła. Ojciec miał znajomego sekretarza w Komitecie i ten robotę matce załatwił. Chociaż bezpartyjna była.

- Mamo, a może ja bym tak do partii.... Matematyk agituje.... - szepnęłam nieśmiało, kiedy same siedziałyśmy w kuchni.
- W naszej rodzinie nie ma partyjnych.... - zauważyła.
- A wiadomo.... może się ukrywają.... - wysunęłam teorię potwierdzoną faktem, iż też nie wiedzieliśmy, którzy nauczyciele są w partii. - Jeśli bym wstąpiła, to może na maturze by mi facet pomógł.... mówią, że partia swoim pomaga i jak się do niej należy, to ma się lepiej.

Mama westchnęła.

- Nie wiem jak to jest z tą pomocą.... nam partia pomogła, chociaż nie jest jesteście partyjni, ale w sumie.... tyle osób do tej partii należy.... pełnoletnia jesteś. Sama podejmij decyzję.

Nie dało się ukryć. Miałam osiemnaście lat.

Oczywiście w szkole trwała dyskusja czy się zapisać, czy nie. Ci, którzy chcieli przyłączyć się do grona wybrańców, mieli różne ku temu powody.

- U mnie cała rodzina należy.
- Mnie ojciec kazał.
- A ja z powodów ideologicznych. Wierzę w przewodnią siłę narodu.
- Żeby w przyszłości być na stanowisku, trzeba należeć. Jak się teraz zapiszę, będę miał dłuższy staż i bez problemu zostanę dyrektorem.
- Ja żeby maturę z matmy zdać... - dołączałam do wymianu zdań.

Mój powód wstąpienia w szeregi PZPR nie robił na nikim żadnego wrażenia. Powód jak każdy inny. Ani dobry, ani zły.

I tak oto pewnego dnia po kolejnej stresującej lekcji matematyki podeszłam do biurka.

- Chcę zapisać się do partii i chcę, żeby pan był moim rekomendującym! - powiedziałam na jednym oddechu.

Nauczyciel spojrzał na mnie spod okularów.

- A dlaczego chcesz należeć.... zresztą to nieważne.

Z biurka wyciągnął kwestionariusz. Kazał wypełnić i przynieść wraz ze zdjęciami.

W styczniu przyszłych członków przewodniej siły narodu zgoniono do jeden z sal gimnastycznych. Nie przypuszczałam, że będzie nas aż tylu. Czyżby też mieli kłopoty z matematyką? Było spore grono znajomych.

– Cześć – zaczepiłam kolegę z sąsiedniej szkoły – Ty dlaczego się zapisujesz?

Nachylił się do mego ucha.

– A nie będziesz się śmiała?

– No nie....

– Matura.... polski.... a u nas polonistka namawiała.

Ulżyło mi.

– Ja to samo, tyle że matma – odszeptalam do jego ucha.

I tak wręczono nam legitymację ze zdjęciem.

Matura z matmy zaczęła przybierać konkretną postać. Wszak partia swoim pomaga.

Do końca roku szkolnego płaciliśmy składki w postaci symbolicznej złotówki. Zbierała je nauczycielka, która nie też wyglądała na partyjną i chodziła do kościoła.

Nadszedł maj.

Matura.

Pierwszy dzień polski pisemny. Wszystko w porządku. Wypracowanie na dziesięć stron papieru A4 w jedną linię.

Drugi dzień. Matma pisemna. Pięć zadań. Żadnego nie rozumiem. W pierwszym coś o słynnym układzie współrzędnych. W kolejnym jakiś logarytm. Co to jest logarytm?

Partio pomocy!

I w sumie nie wiem, jak to z tą pomocą było. Pomogła oczywiście partia, ale pomogła nie tylko swoim, ale i bezpartyjnym.

Kolega, też świeżo partyjny, najlepszy matematyk w klasie, szybko poradził sobie z dwoma zadaniami. Wzrokiem ściągnął, też rekomendującego go w szeregi towarzyszy, nauczyciela. Ten już dawno rozwiązał zadania wraz z innymi przy stole prezydialnym, z którego nas obserwowano. Podeszedł do kolegi, dokładnie przeanalizował rozwiązanie, coś przekreślił i kiwnął potakującą głową. Wrócił na swoje miejsce.

Kolega wyciągnął z kieszeni notatnik formatu A6, w którym znajdowała się kalka. Zaczął przepisywać rozwiązania zadań. Kiedy skończył, wyrwał kartki z notatnika, wzrokiem ściągnął nauczycielkę, która do partii nie należała, znaczy się w okresie zimowej agitacji nie agitowała. Ta zabrała karteczki od niego, złożyła je i .... spacerując po sali pytała szeptem uczniów, czy aby im

ściąga nie potrzebna. Nieważne czy partyjny czy bezpartyjny.

Niektórym potrzebna nie była, ale mnie jak najbardziej. Wzięłam karteczkę.

- Przepisz i podaj dalej – usłyszałam nad uchem.

I w ten oto sposób matkę zdałam na tróję, pozostałe przedmioty na piątki. Z tymi drugimi partia oczywiście nie miała nic wspólnego.

Partia w moim życiu otrzymała drugą szansę. Podczas egzaminu na studia. Czasy były takie, że można było zdawać tylko na jedną uczelnię.

Wybrałam taką, która wydawała się najmniej zatłoczona. Podczas egzaminu zamieszkałam w akademiku z trójką dziewczyn z Pomorza. Już podczas pogaduszek w pierwszą noc każda przyznała się, że zapisała się do partii. Żadna z przyczyn ideologicznych.

Żadna z nas na studia się nie dostała. Partia nie pomogła.

Do trzech razy sztuka.

Skoro na studia się nie dostałam, jak każdy przyzwoity człowiek postanowiłam pójść do pracy. Do wymarzonej pracy. Chciałam zostać nauczycielem, zdawałam na uczelnie pedagogiczną. Nie dostałam się. Trudno. Czasy były takie, że nauczycieli brakowało, bo dzieci było dużo.

Oczywiście, że poszłam do Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Niech się partia wykaże. Niech pomoże.

Pani w sekretariacie Pierwszego Sekretarza podałam powód przybycia. Zrobiła zdziwioną minę, rozłożyła ręce.

- Ale w sprawie pracy w szkole to proszę do kuratorium.... my nie zatrudniamy nauczycieli...
- A może chociaż tak telefon od Pierwszego z poparciem... - próbowałam uśmiechem wymóc na pani jakiegokolwiek poparcie.

Pani też się uśmiechała.

- Myślę, że nie będzie takiej potrzeby. Nauczycieli brakuje.

Budynek opuściłam w kiepskim nastroju.

Żadnego wsparcia.

Zero pomocy.

W kuratorium zapukałam do pierwszych lepszych drzwi. Powiedziałam, że w sprawie pracy.

Pierwsza z brzegu pani szybko zerwała się z krzeselka i z radosnym uśmiechem zaprowadziła mnie do kolejnych drzwi. W pokoju siedział pan w wieku moich rodziców.

- Ta pani w sprawie pracy.

- Ale tylko na wsi, w mieście etatów nie mamy – zakomunikował ostrożnie.

Oczywiście, że na wsi. Nie liczyłam, że dostanę posadkę w mieście. Byłam świeżo po maturze, bez żadnego doświadczenia. Takie osoby jak ja trafiały do małych szkół na wioskach daleko od szosy.

- W porządku. Proszę mnie te wsie pokazać. Jestem specjalistką od polskiego. Tu moje świadectwo. Same piątki na maturze, z wyjątkiem matmy. Aha, należę do partii.
- Piękne świadectwo. Prawdziwa polonistka. A partia to tu nie ma znaczenia.

Pan poszperał w szufladach, szafach i z talentem godnym dzisiejszych przedstawicieli handlowych lub akwizytorów przedstawił mi oferty dla polonistów po maturze.

Wybrałam wieś najbliższą szosy, bo tylko trzy kilometry do asfaltu.

Było nas tam sześcioro. Wszyscy należeli do partii.

Po roku przeniosłam się bliżej miejsca stałego zamieszkania. Było nas dziesięcioro. Wszyscy należeli do partii.

Byłam na jednym zebraniu partyjnym. Fajnie było. Impreza ostro zakrapiana.

Po ukończeniu szkoły średniej nie zapłaciłam żadnej składki na rzecz władzy rządzącej.

W związku z tym, że partia miała szansę i w niczym mi nie pomogła, przestałam się do niej przyznawać.

Nie wiem, co się stało z moją legitymacją partyjną. Może zżarły ją myszy w jednym z pokoi wynajmowanym przez gminę w jednej ze wsi, w której pracowałam.

Po latach wyczytałam, że w okresie największego apogeum PZPR należało do niej ponad trzy miliony Polaków.

I jak ta partia mogła wszystkim swoim pomóc?

Z partią zetknęłam się jeszcze raz – w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy już ledwo oddychała. Jako matka – Polka wstawałam rano i biegłam do pobliskiego sklepu, zwanego szumnie Delikatesami, po mleko dla dzieci.

I teraz dygresja na temat ówczesnego mleka. Sprzedawane było w szklanych, litrowych butelkach. Dwa rodzaje – tzw. normalne 2% tłuszczu i tzw. pełne 3,2%. Małym dzieciom zalecano podawanie mleka pełnego. Takie czasy, dzieci ruchliwe były i biegały po podwórku. Mleko należało kupić w



godzinach rannych. Kupione później, mogło się skwasić i nadawało się wówczas tylko na obiad w postaci ziemniaków z maselkiem i owym kwaśnym, niektórzy mówią zsiadłym, mlekiem, a nie na kaszkę dla potomstwa.

Wstawiałam zatem skoro świt i leciałam po te pełne, żeby tę kaszkę na świeżym mleku na śniadanie ugotować. I czasami robiono mnie w jajo. Bo czasami mleko pełne zostawało z poprzedniego dnia. Latem takowe nie miało szans, by dać się następnego dnia przegotować. Panie w sklepie sprzedawały owe wczorajsze jako dzisiejsze. Wystarczyło, że w pośpiechu nie zerknęłam na etykietę z datą sprzedaży, a do domu wracałam z mlekiem nie do zagotowania.

Kiedyś nie wytrzymałam.

Sprawdziłam datę. Wczorajsza. Zapłaciłam. Wsadziłam butelkę do koszyka i prawie biegiem udałam się do gmachu partii, który znajdował się w pobliżu. Wpadłam do pierwszego z brzegu sekretariatu, który był sekretariatem pierwszego sekretarza.

Postawiłam butelkę na stół. Zbulwersowana, zdenerwowana opowiedziałam o kicie wciskanym w Delikatesach.

- Przecież można uprzedzić, że to wczorajsze! Ludzie kupią na zsiadłe! A nie wciskać kobiecie, która zostawiła małe dzieci w domu i pobiegła do mleko dla nich! - wrzeszczałam w pokoju pokazując butelkę.
- W którym to było sklepie?
- Tu, w Delikatesach.

Pani sekretarka poprosiła, bym usiadła i chwilę poczekała. Weszła do drugiego pokoju. Wróciła z uśmiechem.

- Proszę udać się ponownie do Delikatesów. Mleko zostanie wymienione. I gdyby jeszcze raz zdarzyła się taka sytuacja, proszę nas ponownie zawiadomić. Partia pomaga ludziom.

Oczywiście mleko mi wymieniono. Od tej pory w sklepie patrzono na mnie jak na konfidenta. Naraziłam się ludowi pracującemu, oj naraziłam. Tak na lud pracujący donosić do PZPR-u... A mogłam przecież w imię solidarności kupować to nieświeże mleko.... Bo takie dziwne to były czasy...

## **Zapis emerytalny**

Czy to było rok później, czy dwa lata wcześniej .... w każdym w rodzinie nastąpiło inne zapisanie. Pewnego oczywiście dnia ojciec wrócił z „piwa” z kolegami i zakomunikował najbliższemu:

- Zapisuję się do ZBoWiD-u!

Organizacja owa – Związek Bojowników i Wolność i Demokrację, opinię miała różną. Nie będę interpretowała historii. Byli tacy, co mówili, że kombatantem można zostać za „połówkę”, znaczy

się pół litra wódki. W każdym razie deklaracja taty nie zrobiła na nikim wrażenia. Oczywiście, że go to zdenerwowało, bo miał przygotowaną argumentację.

- Nie pytacie dlaczego?
- No dobrze, dlaczego – powtórzyła zasadnicze pytanie mama.
- Bo jest tak...

W tym momencie nastąpiło zawile tłumaczenie. Postaram się uczynić je bardziej czytelnym.

Zgodnie z ówczesnymi przepisami co niektórzy mogli przejść na emeryturę po przepracowaniu 40 lat. Jako że Polska Ludowa tyłu nie liczyła, do owej czterdziestki zaliczano czas wojny i okupacji. Oczywiście trzeba było udowodnić, że było się wtedy bojownikiem o ową wolność, czyli kombatantem. Oczywiście obowiązkowa była przynależność do ZBoWiD-u, który to decydował o tym, kto nim jest, a kto nie.

Żeby to udowodnić, trzeba było znaleźć dwóch świadków – udokumentowanych bojowników – potwierdzających czynny udział w wojnie.

Takich oto świadków tato znalazł „na piwie” z kolegami. W czasie okupacji mieszkali w pobliżu niego i po kilku butelkach lub kuflach gotowi byli poświadczyć, że mój rodziciel był wówczas aktywny. Tym bardziej, że rzeczywiście moi dziadkowie, czyli babcia i dziadek od strony ojca byli członkami Amii Krajowej.

Następnego dnia tato przyniósł odpowiednie formularze, posadził mnie przy stole i kazał wypełniać.

Doszliśmy oczywiście do rubryki „Walka” i wspólnie ułożyliśmy tekst o działalności nastoletniego wówczas chłopca w szeregach AK. Oto na polecenie rodziców prznosił meldunki. Z jednej wsi do drugiej.

- Pod obstrzałem? - zapytałam fachowo.
- Nie, nikt nie strzelał.
- Ale mógł.

Ojciec załapał.

- Mógł.

Dopisałam „Przenosiłem meldunki narażając się na spotkanie patrolu żandarmerii wojskowej, który inwigilował teren należący do gminy, po której się poruszałem”.

Meldunki przechowywał w bucie, ukryte w skarpecie.

- Może lepiej „w onucy” - zaproponowałam. - Brzmi bardziej wojennie.

Ponownie zgoda.

Potem było coś o przedzieraniu się przez ciemny las i przeżywaniu stresu w związku z możliwością spotkania hitlerowców penetrujących las w poszukiwaniu partyzantów.

I tak dalej i tym podobne. W sumie historia jak wiele innych, które potem tworzyłam. Bo kiedy

ojciec został kombatantem, do naszego mieszkania zaczęli przychodzić kolejni kandydaci do wcześniejszej emerytury.

Wniosek taty, z opowieścią napisaną przeze mnie, okazał się hitem. Cóż, zawsze miałam wybujałą fantazję i potrafiłam niezłe pisać.

Ile ja podobnych wniosków napisałam, nie wiem. Historie tworzyłam przeróżne. Od ataku dziesięciolatka z koktajlem Mołotowa na czołgi po zabawę sześciolatka przed budynkiem komendy gestapo mającą na celu obserwację obiektu. Wojskowego oczywiście.

Kiedyś trafił mi się kolega taty „z piwa”, który w 1939 roku miał pięć lat. Chciał koniecznie też rzucić się na czołgi, ale przekonałam go, że to lekkie przegięcie. Tym bardziej, iż mieszkał dość daleko od linii frontu. Stało więc na tym, że w 1942, kiedy miał już lat osiem, był łącznikiem.

- I proszę napisać, że brałem wielki koszyk, szłem na grzyby do lasu, zbierałem te grzyby, a na dnie koszyka przemycałem do oddziału partyzanckiego panzerfausta. I szłem w maju.

Pomijając, że „szedłem”, a nie „szłem”, zaczęłam wyjaśniać koledze ojca „z piwa”, że tak być nie może.

- Trzeba pozmienić. W maju nie ma grzybów. Jagód też nie. Konwalie mógł pan najwyżej zbierać, albo młodą pokrzywę na sałatkę.
- Takiej biedy, żeby pokrzywy jeść to nie było... - zaprzeczył znajomy.
- No to przenosimy akcję na wrzesień.

Pokręcił z niezadowoleniem głową. To było trzy miesiące później....

W działalności kombatanckiej i wcześniejszej emeryturze każdy dzień był ważny. Okres zaliczany do walki o wolność zaliczano podwójnie do stażu pracy. Mój tato udowodnił, że walczył przez dwa lata, zatem liczyło mu się to jak cztery lata pracy.

- To niech będzie 1941!

Pokręciłam głową. Brak znajomości historii w obliczu emerytury był dla mnie przerażający.

- W 1941 roku byli tu Rosjanie....
- Ale we wrześniu już ich nie było!
- A już tu był ruch oporu i regularna partyzantka?

Człowiek się poddał. Zgodził się na grzyby we wrześniu 1942. Niestety, pojawił się drugi problem. Dlaczego panzerfaust?

- Bo wszyscy nosili albo granaty, albo meldunki. Ja chcę panzerfausta w koszu.
- Proszę pana, taki panzer to by się panu w koszu z grzybami nie zmieścił. Do tego jako dziecko nie uniośłby pan tego kosza, tych grzybów i tej broni. Trochę logiki w tym wniosku też musi być. Przecież w ZboWiD-zie nie siedzą idioci.

(Z jakiego to filmu? „Stawka większa niż życie”, czy współczesnego? W każdym razie cytował się przydał)

Pan, w sumie niewielkiego wzrostu, ponownie się zgodził.

- Dobra, niech będą granaty. Ale te duże, takie handgranaty.

Niech będą duże. Ile ich mogło być w takim koszyku niesionym przez ośmioletnie dziecko?

- Napiszemy „kilka handgranatów”. Po prostu pan już nie pamięta. Wiemy, skąd pan niósł te granaty, ale trzeba ustalić dokąd. Tato, podaj mapę powiatu.

Rozłożyliśmy mapę na stole.

- Największe działania oddziałów partyzanckich były tutaj... kto będzie panu podpisywał jako świadek?
- Ja – zgłosił się ojciec.

Aha, on nosił meldunki tu.... zatem.... dobra.

- Te granaty nosił pan do oddziału, z którym współpracował oddział partyzancki, do którego meldunki nosił mój tato.
- A nie mogę nosić do tego samego? Będzie bardziej prawdziwe.

Zaprzeczyłam.

- Za duża odległość do pokonania przez dziecko z koszem pełnym grzybów i granatów.
- A kogo to obchodzi jaka to odległość? I czy to wszystko jest prawdą! Kto nas będzie z tego rozliczał! - wzburzył się kolega „z piwa”.

Spojrzałam na niego okiem przyszłego pedagoga.

- Historię to obchodzi. Historia może was rozliczyć. Może kiedyś wasze wspomnienia będą lekturą obowiązkową?

Panowie zamilkli i pozwoli mi tworzyć historię ich bohaterskiej walki o tę wolność i tę demokrację.

I tak tworzyłam. Czasami się buntowałam. Znajomi ojca zabierali go na kolejne „piwa”, a mnie tylko raz jeden z nich przyniósł czekoladę....

W 1984 mój tato przeszedł na zasłużoną emeryturę po 36 latach pracy i dwóch – liczonych podwójnie – latach walki z hitlerowcami.

## **1980**

### **Rok urodzaju**

„O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!

Ciebie lud zowie dotąd rokiem ..... najważniejszych wydarzeń w powojennej Polsce” - zakończenie moje, reszta Mickiewicza.

No, bo taki był rok. Zwany czasami rokiem Wałęsy, rokiem Solidarności, rokiem skoku przez płot.... Jak zwał, tak zwał. Nie da się ukryć. Był ważny.

W moim życiu zaszły kolejne zmiany. Zdałam maturę, nie dostałam się na studia i rozpoczęłam pracę w małej szkole, daleko od szosy. Konkretnie cztery kilometry do najbliższego asfaltu. Po roku trafiłam do innej we wsi, do której asfalt już doprowadzono i cztery razy dziennie docierał tam autobus. Niosłam zatem kaganek oświaty i w sumie źle nie było. Pogorszyło się tuż przed „sylwestrem”.....

W ostatnią niedzielę starego 1979 roku, po mszy dla tzw. młodzieży, stanęliśmy przed kościołem z opuszczonymi głowami. Tragedia. Po prostu normalna rozpacz.

Nasza paczka nie miała gdzie witać Nowego Roku.

Dom każdego z nas zajęty był w „sylwka” przez starych, znaczy się rodziców i za chiny ludowe nie dało się urządzać balangi.

Mimo spotkania przed świątynią, co niektórzy siarczyście klęli.

- Ku.... pod most mamy iść!?
- W sumie pomysł niegłupi. Rozpalimy ognisko....
- Nie pier.... Zwiną nas.
- No i git. Przywitamy nowy rok w ciupie. Będzie ciekawie.
- Może wpadniemy do kościoła... Dla bezdomnych powinien być otwarty.
- Jeszcze nie piłeś, a już ku.... jesteś pijany.

Posypały się inne pomysły, za każdym razem głupsze. Kiedy sytuacja stała się na tyle krytyczna i groziła pomysłem na zbiorowe samobójstwo z powodu braku chaty na balangę, podszedł do nas. On. Jego status był dziwny. Niby należał do naszej paczki, ale od czasu zerwania ze mną sam nie wiedział, jak się ma wobec nas zachować.

Moja wielka miłość – Robert.

- Słuchajcie, ja mam wolną chatę.... - powiedział prawie szeptem.

Wywołało to entuzjazm grupy. Z wyjątkiem mojego. Nie wiem, jaką miałam minę, bo nie widziałam sama siebie. Musiała być nieciekawa, bo kumpel podszedł do mnie i też szepnął:

- No poświęć się dla grupy...

W sumie nie miałam wyjścia i poświęciłam się.

„Sylwek” u Roberta przebiegł w miarę spokojnie. Najważniejsze, że nie było żadnych par i nikt się po kątach nie obściskował. Zdarzyło się kilka niekontrolowanych sytuacji, ale to temat na powieść obyczajową, a nie historyczną.

Nowy 1980 rok przywitaliśmy zatem w gronie przyjaciół. Nic nie zapowiadało przewrotu sierpniowego. Nie pojawiła się żadna kometa. Żaden meteoryt nie walnął w trawnik obok bloku.

Żaden zmarły nie powstał z mogił znajdujących się na cmentarzu w pobliżu mieszkania Roberta.

I tak spokojnie nadeszła wiosna. Pewnego dnia dyrektorka szkoły poprosiła mnie do gabinetu. Oświadczyła, że naczelne harcerstwo chce, by nasza szkoła zorganizowała obóz wędrowny dla uczniów. Ot, taka atrakcja dla dzieci ze wsi, żeby trochę świata zobaczyły. Pani dyrektor poprosiła, bym sprawę przemyślała, bo jestem młoda, energiczna i taki obóz mogę poprowadzić po drogach i bezdrożach jeszcze wówczas ludowej Ojczyzny.

Kochani, czy wiecie co to takiego był „obóz wędrowny?” Pewnie nie, oj dużo straciliście, dużo... Polegał oczywiście na wędrowaniu. Wcześniej wybierano jedną z wielu tras umieszczonych w specjalnym przewodniku. Wybór trasy równoznaczny był równocześnie z zaklepaniem noclegów w tzw. schroniskach młodzieżowych, do których zmierzaliśmy. Dostawało się również mapy terenu, przez które przebiegała trasa. Forsę na obóz wykladał organizator, w wypadku mojej szkoły - Związek Harcerstwa Polskiego. Było to - uwaga! - prawie 90% całości kosztów! Uczestnicy dokładali niewiele. Sama uczestniczyłam w takich obozach. Wiedziałam, że to wielka frajda, a dzieciakom ze wsi, co to nawet na wakacje nie jadą do babci na wieś, bo babcia mieszka razem z nimi na wsi, odrobina luksusu się należy.

Problemem okazał się drugi opiekun, który był niezbędny do przeprowadzenia przez kawałek Polski dwudziestki dzieci.

Z mojej szkoły nikt nie miał na to ochoty.

Zaczęłam szukać wśród znajomych. Nic z tego. W końcu poszłam do kumpla, tego, który kazał mi się poświęcić dla grupy w noc sylwestrową.

- Poświęć się teraz dla mnie! Masz wakacje, rusz tyłek. Jedziemy.
- W sumie.... - zrobił dziwną minę - ..... czemu nie...

Zabraliśmy się za wybór trasy, załatwianie formalności i zachęcanie młodych do wyjazdu.

W połowie maja kolega zadzwonił do mnie i poprosił o szybkie przybycie. Coś mnie w jego głosie zaniepokoiło. Pobiegałam. W przedpokoju ciężko wzdychając oznajmił:

- Nie mogę jechać z tobą na ten obóz.

Myślałam, że zemdleję. Przecież wszystko jest już gotowe!

- Nie mdlej. Mam zastępstwo.

Otworzył drzwi od swego pokoju. Chciałam zemdleć po raz drugi. Przy oknie stał Robert.

## **Pociąg przyjaźni**

Zanim jednak ruszyłam z Robertem na trasę, w moim domu doszło do prawdziwej sensacji. Oto z zupełnie nieznanymi powodami i w zupełnie nieoczekiwanym czasie mój ojciec dostał zaproszenie

do podróży, w podróż? Sama nie wiem, jak poprawnie napisać. W każdym razie wezwano go do dyirekcji i zaproponowano wyjazd tzw. „Pociągiem Przyjaźni” na Igrzyska Olimpijskie. Odbywały się one wówczas na terenie zaprzyjaźnionego ustrojowo państwa, które jak wiemy zwało się Związkiem Radzieckim.

„Pociągi Przyjaźni” kursowały między Polską a ZSRR i woziły ludzi, jak to pociągi oczywiście. Tyle tylko, że były to kursy typu wycieczkowego. Zwiedzało się albo Kraków albo Kijów, a podróżni spotykali się z mieszkańcami zwiedzanego miasta pod szyldem rozwijania braterskich stosunków w imię hasła „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”

Na wycieczkę takowym pociągiem chyba trzeba było sobie zasłużyć. I chyba takowa podróż była bardzo tania lub wręcz bezpłatna.

Mój ojciec był w siódmym niebie.

Nie, nie z powodu proletariatu czy braterstwa.

Z powodu igrzysk olimpijskich!

Sport w postaci bycia kibicem odgrywał w życiu naszej rodziny nadrzędną rolę. Głównie w Wałbrzychu. W niedzielę część ludzi szła do kościoła, a my zasuwaliśmy na mecz. Wśród znajomych rodziców najwięcej było sportowców, działaczy sportowych i oczywiście cała rzesza, jak to się dziś mówi, braci po szalu. Kiedy w naszej ojczyźnie uruchomiono drugi program telewizji polskiej ( 2 października 1970) w wielu domach wybuchały awantury o to, co oglądać. Polak nie był przyzwyczajony do dokonywania wyboru.

Najgorzej ponoć było, kiedy na „Jedynce” leciał mecz, a na „Dwójce” komedia romantyczna. W praktycznie każdym domu była awantura, bo facet chciał mecz, a kobieta film.

W każdym, ale nie moim. My zgodnie zasiadaliśmy przed telewizorem, by oglądać mecz.

Euforia mego taty z powodu możliwości wyjazdu i oglądania sportowych zmagani na żywo nie była dziełem przypadku. Fakt, iż igrzyska odbywały się na terenie bratniego kraju był bez znaczenia.

Gdyby sportowcy zlecieli się do Czadu albo na Grenlandię, każdy z członków naszej rodziny też by tam pojechał.

Więc ojciec pojechał.

I wrócił.

Zachwycony, zadowolony i szczęśliwy.

Tego szczęścia nie rozumieli ludzie, którzy w ogóle sportu nie rozumieli.

– A ile zarobiłeś na tym wyjeździe? - pytali.

Tato robił minę typu „puknij się w czoło” i odpowiadał:

– Ja zarabiam w pracy. Tam pojechałem na igrzyska.

Nieznającym rzeczywistości głębokiego PRL-u wyjaśniam. Polak wyjeżdżający za granicę,

zwłaszcza do bratnich krajów socjalistycznych, zawsze brał coś na handel. Kupował na przykład takie jeansy polskiej marki „Odra”, odpruwał polską metkę, naszywał taką z napisem „Levis strauss” (łatwa do kupienia na bazarach) i sprzedawał spodnie jako amerykańskie. Miał na tym sporą „przebitkę” czyli zarabiał.

Działania takie były wówczas nielegalne, bo wiadomo, dziwne to były czasy. Nazywały się przemytem lub spekulacją. Nie odstraszało to rodaków od kontynuowania owych działań na terenie wszystkich państw Układu Warszawskiego. A więc do ZSRR woziło się spodnie, a przywoziło złoto, bo ono tam było znacznie tańsze niż w Polsce. Oczywiście też się je przemycało, bo bracia zza Buga musieli trzymać rękę na pulsie, znaczy się złocie. Bali się, że Polacy wywiozą je wszystkie.

Mój ojciec spodni nie zabrał, ale złoto przywiózł. Legalnie legalną dozwoloną ilość. Jedną obrączkę, za przewóz której zapłacił cło.

To był prezent dla mamy. Rodzice nie mieli złotych obrączek.

Oprócz tego przywiózł sportowe programy pisane cyrylicą. Czytałam i tłumaczyłam. Sportowe wpinane znaczki z symbolami olimpijskich konkurencji. Bilety wstępu na areny sportowych zmagañ. Porcelaną maskotkę igrzysk misia Miszę. Dwie albo trzy chusty z symbolami olimpijskimi.

Oglądaliśmy wszystko jak relikwie. Tak, ojciec był, a my mieliśmy jedynie telewizor, i to czarno-biały....

Ale przede wszystkim tato przywiózł wspomnienia.

- Wielki stadion w moskiewskich Łuźnikach.... Ludzi masa... My też siedzimy... Lekkoatletyka... Cholera jasna, nie wiadomo w którą stronę patrzeć, jak to na takich zawodach. Blisko nas skocznia do skoku o tyczce. Póki co pusta. No to siedzimy nadal. Wreszcie idą zawodnicy. Są, są nasi! I się zaczęło!
- Wiemy, widzieliśmy w telewizji – oznajmia ojcu pozostała część rodziny.

Tato macha lekceważąco ręką:

- E tam w telewizji, a ja na żywo! Ja na żywo! Widziałem jak skoczył i pokazał im wała! O takiego! - tu ojciec zgiął lewą rękę, przełożył przez zgięcie prawą i pokazał uznawany do tego czasu za wulgarny gest, znany od 30 lipca 1980 roku jako gest Kozakiewicza.

Taki bowiem gest, pokazujący bratniemu narodowi, że ma się go gdzieś, pokazał nasz skoczek o tyczce Władysław Kozakiewicz zdobywając złoty medal olimpijski. Ile potem było z tego powodu krzyku, wrzasku, interpretacji, o tym wie do dziś cały internet. Wystarczy wpisać „gest Kozakiewicza” i wszystko jasne.

Przez kolejne lata swego życia, przy każdej okazji, podczas każdego oglądania w telewizji owego gestu, mój ojciec wykrzykiwał, że był naocznym świadkiem. Podbiegał do telewizji i pokazywał



tłum ludzi siedzących za skocznią:

– O, tu siedziałem, tu siedziałem! - krzyczał do czarno-białego ekranu.

Przywiózł ze sobą również ciekawą wiadomość.

Otóż w Charkowie wyszedł z hotelu po papierosy. Przed czymś podobnym do kiosków dawnego polskiego „Ruchu” spotkał ..... kolegę z Wałbrzycha. Też szarego, zwykłego pracownika biurowego, który też otrzymał propozycję nie do odrzucenia, żeby jechać „pociągiem przyjaźni” na igrzyska. Obaj panowie rozejrzeli się wokół ludzi jadących z nimi i stwierdzili, że spora grupa to taki zwykły proletariatus... A chodziły słuchy, że pociągi przyjaźni tylko dla wybrańców i aktywistów. ...

Dziwili się więc dwaj przyjaciele z Wałbrzycha, oj dziwili popijając „Stolicznąją” procent 40, dlaczego są tu gdzie są, dlaczego piją z butelki radzieckiej a nie polskiej...

Po tym, co wydarzyło się w kraju w kolejnym miesiącu, można wysunąć teorię spiskową, że owi zasłużeni aktywiści czuli lub wiedzieli, że coś się szykuje i trzeba być w Polsce, a nie szlajać się po jakiś igrzyskach....

Zanim jednak wszystko walnęło, ja pojechałam na obóz wędrowny z ukochanym Robertem....

### **Bez piwa w plecaku**

Zanim zabiorę was w wędrowkę po przyjaznej ziemi rzeszowskiej, parę słów o ówczesnej sytuacji gospodarczej. Według młodego pokolenia i powielanych tu i ówdzie propagandowych treści, od 22 lipca 1944 roku, znaczy się od ogłoszenia manifestu PKWN, w sklepach Polski Ludowej na półkach stał tylko ocet. Informuję, iż spożywając jedynie ocet, żaden naród nie przetrzyma. A Polacy przetrzymali i doczekali roku pańskiego 1980. Znaczy się, nie tylko ocet spożywali. Nie da się jednak zaprzeczyć, że zaopatrzenie w sklepach mocno kulało. Tak, kulało, ale nie było tragiczne. Wszak przeżyliśmy.

Wyjeżdżając z dziećmi na obóz wędrowny zdawaliśmy sobie sprawę, że jest słabo, ale co tam. Wszyscy byliśmy młodzi i żadni przygód. Już od lipca 1976 roku obowiązywały kartki na cukier. Każde z dzieci miało wziąć ze sobą kilo cukru i dwie konserwy mięsne. My z Robertem wzięliśmy po dwa kilo. Żeby dzieciaki nie myślały, że słodzimy herbatę na ich koszt.

Obóz jak widać, przeżyliśmy. Obiady jedliśmy w barach, restauracjach, czasami knajpach.

Śniadania i kolacje uczniowie przygotowywali sami z produktów zakupionych w sklepach.

Oczywiście, że nie jadaliśmy szynki ani polędwicy. W tamtych czasach takie rarytasy pojawiały się

w normalnych domach dwa razy do roku: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Ale tragedii musiało nie być, skoro posiłki powstawały. Chyba że było gdzie świniobicie.... ale o tym kiedy indziej...

Kiedy zatrzymywaliśmy się we wsiach, kupowaliśmy świeże mleko, jajka, ser biały zwany twarogiem, czasami swojską kielbasę, a nawet masło robione w masielnicy!

Uwaga, na produkty spożywcze nie musieliśmy mieć żadnych rachunków! Musieliśmy się tylko utrzymać w dziennej stawce, oczywiście uwzględniając całe dwa tygodnie. Do ręki dostaliśmy książeczkę oszczędnościową PKO, plik kartek do wypełnienia co jadaliśmy przez cały dzień i jedną „książkę” rachunkową do wpisywania rachunków za zwiedzanie, kino, noclegi.

Naszą dokumentację uzupełniały karty uczestników i zaświadczenia, że opiekunowie to my, z numerami dowodów osobistych oczywiście.

W obliczy dzisiejszej biurokracji – w tamtych czasach jej nie było praktycznie wcale.

Ale żeby nie zanudzać i nie obalać mitów, które mocno zakorzeniły się w społeczeństwie, odpuśćmy sobie gospodarkę. Najważniejsze, że wszyscy żyjemy, że dzieci z podłomżyńskiej wsi kawałek Polski zobaczyły.

Z trasy obozu na uwagę zasługują dwa wydarzenia.

Pierwsze – pedagogiczne czyli jak zrobić w jajo zbuntowane nastolatki.

Wieczorem usiedliśmy nad mapę i pokręciliśmy z niepokojem głową.

- Jutro upał – zameldował Robert, który wysłuchiwał prognoz pogody w telewizji.
- Cholera, zobacz na te poziomice... - wskazałam mapę – ostro pod górę....
- Prawie Bieszczady.... - tu jest szosa, którą pójdziemy....
- Cholera, żadnego autobusu w tamtą stronę, żeby przynajmniej wysłać kogoś z bagażami. ( tak się robiło, kiedy odległości od miejsc zakwaterowania były ponad dwudziestokilometrowe – o rety, w dzisiejszych czasach wysłać nastolatków samych autobusem do nieznanej miejscowości! Kryminał! No ale to za komuny było i dziwne czasy były)

Westchnęliśmy ciężko. Robert, według starej komunistycznej zasady prosto z ZSRR - „bez pół litra nie rozbierosz”, otworzył piwo ( nikt wówczas nie zabraniał picia piwa podczas pracy na obozie z dziećmi).

- Trzeba ich wziąć sposobem – odpowiedział zgodnie z zasadami psychologii „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” albo tej drugiej „ im mniej wiesz, tym lepiej”.

I tak, sącząc piwo marki „Leżajsk”, opracowaliśmy plan.

Następnego dnia po śniadaniu nastąpiła tradycyjna odprawa.

- Kochani, mamy dziś do przejścia 15 kilometrów – zaczęłam.

W rzeczywistości – 20.

- W pewnym momencie jest trochę pod górkę – kontynuował Robert.

W rzeczywistości cały czas było pod górkę, ale droga według mapy wiodła przez las i można było góry nie zauważyć. Podczas odprawy uwzględniliśmy jedynie ostre podejście szosą.

Oczywiście nie obyło się bez pytań.

- A autobusu nie ma?
- Nie ma, jeśli nie wierzysz, idź na przystanek i sprawdź.

Myślicie, że małaolat nie sprawdził? Nie byłby normalnym małaolatem. Oczywiście, że pobiegł.

Wrócił i oznajmił, że ani pan, ani pani nie kłamia.

- Musimy więc rozłożyć siły, żeby starczyło nam na dojście do celu. Naszym celem jest... i tu nastąpiła pogadanka przyrodniczo-geograficzna, której nikt nie lubił, ale która być musiała.

Sami natomiast stwierdziliśmy, że w naszych plecakach jest za dużo.... piwa. Oj, ciężły butelki „leżajska” czy „żywca”.... już nie pamiętam. W każdym razie zwolenników octu na półkach informuję, że było również piwo.

Postanowiliśmy piwo oddać w sklepie. W nowym miejscu zakwaterowania kupimy nowe piwo.

Sklepowa była w szoku. Nie zdarzyło się jej, by ktoś piwo oddawał. Ale przyjęła i forszę zwróciła.

Rozpoczęliśmy marsz.

Lekko nie było.

W końcu dotarliśmy do celu. Zakwaterowaliśmy się w schronisku młodzieżowym. Dzieciaki zaapelowały o odpoczynek, zanim pójdziemy na obiad, który tak najlepiej zjeść w porze kolacji, bo wszyscy padają na nos. Protest uwzględniliśmy. Wszyscy padli na łóżka i zasnęli. My też.

W pewnym momencie poczułam, że ktoś dotknął mego ramienia. Otworzyłam oczy. Stał nade mną mały Rysiu, który po cichu zapytał:

- Psze pani, a mają w tym schronisku piłkę? Bo pograć chcieliśmy...

Szturchnęłam chrapiącego obok mnie Roberta:

- Słyszysz, oni chcą jeszcze grać w piłkę...

Poczuliśmy się oboje bardzo starzy.

Drugie wydarzenie miało charakter ideologiczny.

Była sobota. Pytam więc swoich uczniów, których dobrze znam, czy mają w planach niedzielną wizytę w kościele. Reakcje różne, od euforii po ciężkie westchnienia typu „a muszę?”.

- Jeśli ktoś chce, to pójdzie z jednym z nas. Reszta zostanie z drugą osobą.

Nazajutrz okazało się, że pójdą wszyscy. Okazało się również, że każdy miał w plecaku wizytową

bluzkę lub koszulę. Każdy, z wyjątkiem mnie i Roberta. Ustawiliśmy się zatem w szereg, jak podczas marszu po szosie. Ja na przodzie, za mną najsłabsi, najsilniejsi na końcu. Pochód zamykał Robert.

Doszliśmy do kościoła. Byliśmy na mszy. Wyszliśmy. Wieczorem okazało się, że dokonaliśmy bohaterskiego czynu.

W niewielkiej miejscowości z kościołem i schroniskiem młodzieżowym bywało wiele obozów wędrownych. Żaden jednak przepisowym szeregiem nie poszedł do kościoła.

- A jak mieliśmy iść? We wsi nie ma chodników. Szliśmy jak po szosie - wzruszył ramionami Robert rozmawiający z jednym z mieszkańców.
- Ale nie o to chodzi – próbował nam wytłumaczyć mężczyzna – Wy tak oficjalnie zaprowadziliście dzieci do kościoła! Nie boicie się?

Czego? - chciałam zapytać. Ale tylko wzruszyłam ramionami.

Ani ja, ani Robert nigdy nie zetknęliśmy się z zakazem wstępu do kościoła, który ponoć obowiązywał od owego 1944 roku.

W każdym razie nie spotkały nas żadne konsekwencje, nikt nas nie zamordował.

Dziwne to były czasy....

I tak sobie pochodziliśmy po tej ziemi rzeszowskiej, i nikomu się nic nie stało, i nikt z głodu nie umarł, mimo iż był to sławetny rok 1980.

W końcu zapakowaliśmy dzieciaki w nocny pociąg relacji Rzeszów – Warszawa Wschodnia i ruszyliśmy w drogę powrotną. Była to noc z 24/25 sierpnia.

I co, myślicie, że coś się w pociągu stało? Nic moi drodzy, nic. Pół nocy na korytarzu czuwałam ja patrząc w drzwi przedziałów zajętych przez nasze dzieci, pół nocy, a właściwie część i cały świt na niewielkim „siedzeniu” przesiedział Robert. Tłoku nie było, wszak pociąg nie jechał nad morze, ani znad morza. Taka sobie prowincjonalna trasa.

W Warszawie szybko uformowaliśmy dwuszereg i w miarę szybko chodnikiem ulicy Targowej przemieściliśmy się na dworzec Warszawa Wileńska. Oczywiście mieliśmy oczy dookoła głowy, bo Warszawa, bo tłum, bo duży ruch, a uczniów też dużo. Potem wsiedliśmy do pociągu chyba do Białegostoku, który dowiózł nas do Śniadowa.

To była kiedyś bardzo ważna stacja kolejowa. Tu krzyżowały się tory z Białegostoku, Ostrołki i Łomży. Takie centrum przesiadkowe na miarę Polski B.

W dalszą trasę ruszyliśmy autobusem marki „ogórek” czyli Jelcz 043 z jakiegoś lokalnego PKS. Trasa do Łomży wiodła przez miejscowości objęte rejonem mojej szkoły. Kierowca, facet uprzejmy i usłużny, zatrzymywała się niekoniecznie na przystankach, czasami stawał przy drodze prowadzącej do wsi ukrytej trzy kilometry za lasem, w której zamieszkiwał nasz uczeń. Młody

człowiek wysiadał, machał na pożegnanie reszcie i ruszał do domu.

Dziś za coś takiego nauczycielom grozi kryminał. Wówczas obyło się bez kajdanek i aresztu śledczego.

Do Łomży dojechaliśmy tylko we dwójkę. Pomachaliśmy sobie rękami i udaliśmy się do naszych domostw.

Na trzecie piętro wtoczyłam się resztką sił. Zadzwoiłam. W sumie miałam szczęście. Rodzice pracowali na drugą zmianę i zastałam ich w domu.

Od razu coś mi się rzuciło w oczy. Coś było nie tak.

- Gdzie dzieci? - zapytała drżącym głosem mama.
- Dzień dobry. Wróciłam – odrzekłam sarkastycznie.

Mama nie odpuszczała:

- Gdzie dzieci?
- Jak to gdzie, każde w swoim domu. Wysiadały po drodze, jak jechaliśmy ze Śniadowa autobusem. Zmęczona jestem, cała noc w pociągu... - próbowałam zainteresować rodzinę swoją osobą powracającą z Rzeszowszczyzny.

Do dziwnej wymiany zdań dołączył tato:

- Nikomu się nic nie stało?

Wzruszyłam ramionami. A co się niby miało stać? Ja i Robert jesteśmy odpowiedzialnymi ludźmi, mimo że jeszcze młodzi i na dodatek zakochani.

- Jeść mi się chce. A tak w ogóle to o co chodzi?

Zanim dostałam herbatę i kanapkę ( i wcale nie z octem) wysłuchałam opowieści o strajkach na Wybrzeżu. Nie, nie było żadnej euforii w moim domu. Był strach. Czego bali się moi rodzice, nie wiem. Ja nie bałam się niczego, bo do wkroczenia do domu w samo południe 25 sierpnia nie miałam pojęcia o niczym.

Przez dwa tygodnie wędrowałam po oddalonej o blisko 500 km części jeszcze ludowej Ojczyzny. Troszczyłam się o małolaty. Zwiedzałam pałac w Łańcucie. W wolnych chwilach kochałam się z Robertem.

Jaki strajk? Gdzie Wybrzeże, gdzie Przeworsk, Szklary, Dynów?

- I nic nie wiedzieliście? I jak szliście przez Warszawę to też nic nie widzieliście? Mówią, że w Warszawie strajkują tramwaje... - dopytywał się ojciec.
- Nic nie wiedzieliśmy.

I bardzo dobrze się stało, że nie wiedzieliśmy, bo wsadzilibyśmy dzieciaki do pociągu i szybko wrócilibyśmy do domu. Małolaty nie zobaczyłyby siedziby Potockich – pomyślałam.

- A w Warszawie to widzieliśmy jedynie ulicę Targową, bo przemieszczaliśmy się ze Wschodniego na Wileński. Pilnowaliśmy dzieci, a nie przyglądaliśmy się tramwajom.

Mama przyznała mi rację.

Dalej wszystko potoczyło się szybko. Rodzice nadal chodzili do pracy, bo jakoś ich zakłady w sierpniu nie strajkowały. Relację z podpisania porozumień sierpniowych oglądaliśmy w normalnej telewizji (porządnego radia nadal nie mieliśmy). Potem rozpoczął się rok szkolny. Uczniowie wspominali obóz wędrowny. A ich pani definitywnie rozstała się z Robertem.

Umarł socjalizm. Umarła nasza miłość.

Wszak dziwne to były czasy....

## **1980/1981**

### **Z papierosem przy sieci**

Rok szkolny 1980/1981 przebiegł pod znakiem wielu wydarzeń. Nadal panował wszechobecny chaos. Nadal były kłopoty z zakupami. Czasami ktoś strajkował. Czasami jakiś ważny abdykował, a na jego miejsce wskakiwał następny ważny.

W naszej rodzinie też się działo. Politycznie najciekawsze wydarzenie miało miejsce w pewien zimowy wieczór.

Mój ojciec siedział właśnie nad talerzem zupy. W pokoju tym razem to było, bo w nowym bloku kuchnie były za małe na konsumowanie posiłków. Tak więc ojciec konsumował. Mama siedziała na wersalce rozkładanej, ale w dzień złożonej i robiła za sofę. Znaczą się wersalka robiła, bo mama patrzyła w telewizor, w którym coś leciało.

Ze swego pokoju wyszedł brat. Usiadł obok matki.

- Jutro strajkujemy – zakomunikował.

Łyżka w zupie ojca stanęła.

- Dlaczego?
- Bo majster każe nam zapierd.... - kontynuował brat.
- I dlaczego jeszcze? - pytał tato z łyżką pełną zupy w dłoni.
- No, dlatego, nie będziemy zapierd.... wolność jest no nie? Wywieziemy go na taczce i tyle będzie z niego.

Łyżka wylądowała w zupie.

- Czyli dlatego, że nie chce się wam robić, robicie strajk?

Brat wzruszył ramionami:

- No, chyba tak, nie chce nam się zapierd....

Ojciec podniósł głowę znad talerza.

- Słuchaj synu, bo jak ja cię zapied....ę to wagony będziesz kur... rozładowywał, żeby na chleb zarabiać! Ja ci ku... dam strajk! Do roboty jutro!

Po czym ojciec spokojnie pochylił się nad talerzem i dokończył konsumpcję zupy. Z tego co pamiętam, to brat nie strajkował. Być może w innych domach odbyły się podobne rozmowy, w wyniku których strajk z powodu majstra każącego pracować, a nie opierd... się w miejscu pracy, nie odbył się.

To była jedna z rodzinnych potyczek przełomu 80 na 81. Prawdziwa wojna wybuchła później. Rok 1981 był rokiem wprowadzania kolejnych kartek, co zwało się fachowo reglamentacja towarów.

Ze wszystkim Polak sobie poradził i mimo niewielkiej ilości owego towaru na kartki, w lodówkach było mięso, w szafkach cukier. Na targowiskach, zwanych w części kraju rynkami, zawsze można było dostać kartkowy towar, oczywiście za wyższą cenę. Dziś nazywa się to handlem, wtedy było karana spekulacją. Kolejki oczywiście do sklepów były. Stało się. Czasami nie wiadomo po co. Każdy towar był towarem do wymiany barterowej. Ja komuś pastę do zębów, ktoś mi pończochy. My, czyli młodzi ludzie snujący się po mieście, mieliśmy różne pomysły. Zbiórkę mieliśmy w takiej sobie kawiarni, przy najdalej oddalonym od pozostałych stoliku. Przychodził najpierw jeden i zamawiał herbatę, z cukrem oczywiście. Potem drugi. Też herbata z cukrem. Trzeci krzycał:

- Czarną z cukrem! - jakby wówczas znane były inne kolory herbat...

A czwarty na pytanie kelnerki:

- Co podać? - z sadystycznym uśmiechem odpowiadał:
- Raz posiedzieć!

I tak przy dwóch herbatach z cukrem mijał wieczór. Wszak nie żarcie ważne, ale towarzystwo. Kiedyś zauważyliśmy, że stając w okolicach sklepów i polskich narodowych kiosków „Ruchu” wzbudzaliśmy zainteresowanie wśród przechodniów. Wysunęliśmy teorię i postanowiliśmy ją sprawdzić w kilku newralgicznych punktach miasta. Uznaliśmy to za dobrą zabawę w niewielkim i nudnym jak... mieście.

Nasza paczka licząca od pięciu do dziesięciu osób ustawiła się w regularną kolejkę przed sklepem z „drogerią”. Nie rozmawialiśmy ze sobą udając zupełnie obcych sobie ludzi. Po paru minutach za nami ustawiała się podobna, a nawet liczniejsza kolejka. Ludzie pytali:

- A co mają rzucić?
- Chyba papier toaletowy.
- A ja słyszałam, że wodę po goleniu.

- Nie, mydło do golenia.
- Rzuciliby jakieś perfumy, mam urodziny teściowej.
- E tam, perfumy, pasta do zębów mi się kończy.
- To myj pani mydłem.
- Nie mogę. Po mydle w gębie to chce mi się rzygać.

I takie to mniej więcej były Polaków rozmowy w zainicjowanej przez nas kolejce. Kiedy była już odpowiednio liczna, wychodziliśmy z niej słysząc za sobą:

- Ale ta dzisiejsza młodzież niecierpliwa. Nawet w kolejce nie postoi.

Jak długo stały utworzone przez nas kolejki, nigdy nie sprawdzaliśmy. Szybko jednak zrezygnowaliśmy z robienia sztucznych kolejek. Jakoś przestało nas to bawić.

W domu tymczasem atmosfera gęstniała. Dawno nie było żadnej draki, a czas spokoju oznaczał rodzinny stan uśpienia.

Zaczęła się od wódki, to znaczy od kartek na wódkę. Każdy pełnoletni obywatel miał prawo do pół litra czystej na miesiąc. Ale abstynenci mieli prawo do wymiany owej wody na kawę naturalną, brazylijską. Zabijcie, nie pamiętam, na jaką ilość. W porze wyjątkowo wspólnej kolacji, jedząc szynkę z nielegalnego uboju (o tym później) prowadziliśmy rodzinną dyskusję na temat przydziału kartkowego.

Ojciec oczywiście postawił się w roli opozycji do kartek, tłumacząc młodemu pokoleniu, że w czasie wojny był większy przydział.

- I bardzo dobrze, że teraz jest mniejszy. Niech robotnicy walczą o tę solidarność, a nie piją. W czasie wojny okupant chciał rozpić Polaków, żeby powymierali na choroby poalkoholowe – oznajmiłam tonem nauczycielki z trzyletnim stażem.

Nie, nie, tym razem nikt z rodziny nie skomentował.

- Ja wódki nie potrzebuję. Będę kupowała kawę – rzekła mama.

Tato nie musiał mówić, co kupi. Brat miał dylemat:

- Ja jeszcze nie wiem.... i wódka się przyda i kawa....
- Ale wódka cenniejsza. Da się wymienić na większą ilość towaru – zauważyłam znając już trochę tzw. czarny rynek, czyli spekulację na targowisku.
- Małolaty pić nie powinny! - ostro syknął ojciec.
- Jakie małolaty.... - puknęła się w czoło mama – Pracują, uczą się (to było o mnie, ale co tam, niech brat skorzysta), dokładają do życia (czyli oddają część poborów mamie), a ty im „setki” żałujesz.

Tato nie ustępował:

- Jakiej „setki”? Całego pół litra!



Mama machnęła ręką:

- Bądź choć raz ojcem.

Zaległa twórcza cisza.

- Dobra, niech każdy robi ze swoją kartką co chce – skapitulował ojciec.

Tato poparł wniosek machając ręką:

- Jest jeszcze „Pewex”, „ciotka” i Cyganie.

Co to był „Pewex”, wie chyba każdy z młodego pokolenia – sklepy z luksusowymi towarami za obce waluty, przede wszystkim dolary. Obok dolarów istniały tzw. bony towarowe PeKaO.

Oczywiście w Polsce nikt dolarów nie miał. Oficjalnie oczywiście. W rzeczywistości każdy je miał. A jeśli nie miał, to w każdej chwili mógł mieć. Wymianą złotych na dewizy zajmowali się w Łomży ludzie pochodzenia romskiego, czyli Cyganie. Stali nie przy samym sklepie z luksusami, ale z reguły na placu przy kościele znajdującym się w pobliżu. Przy tym samym, przy którym kiedyś zaplanowaliśmy „sylwka”.

W sumie więc sprawa alkoholu rodziny nie podzieliła. Wszyscy pracowali, zatem jak chcieli się napić, pod kościół, szybka wymiana forsy, do Pewexu i impreza gotowa.

Dobrze, już mówię.... wiem, że chcecie wiedzieć... Wódka w Pewexie była droższa. Ale co tam, jak nie było mięsa, cukru, pończoch czy majtek na dupę to się tego nie kupowało i na procenty było.

Gorzej, w naszej rodzinie oczywiście, było z kartkami na papierosy.

Ponownie siedzieliśmy przy telewizorze konsumując jajecznicę z jajek przywiezionych przeze mnie ze wsi. Właśnie dostałam „łapówkę” w postaci kawałka słoniny i dziesięciu sztuk jaj kurzych ekologicznych, bo od kur grzebiących, zresztą innych wtedy nie było.

Telewizja ogłosiła, że wprowadza kartki na papierosy – po dziesięć paczek na łepka na cały miesiąc. Mało, stanowczo za mało. Nałogowiec wypala minimum paczkę dziennie. Jednak tata zatarł ręce z zadowoleniem:

- W porządku! Mam czterdzieści paczek na miesiąc. Mogę nawet na rynku handlować!

Biedak, nie wiedział, jaki szok za chwilę go czeka.

Póki co jedliśmy jajecznicę popijając mlekiem. Też ekologicznym, bo tylko takie wówczas było. Kupione rano trzeba było szybko przegotować, bo wieczorem już mogło być kwaśne. Mama przewidywała skutki kartek i po zjedzeniu kolacji szybko posprzątała ze stołu. Wiadomo, szkoda talerzy.

- Ja swojej kartki nie oddaję – brat okazał się odważniejszy ode mnie. Jego głos zabrzmiał jak wyrok.

Do ojca początkowo nie dotarło:

- Jakiej kartki nie oddajesz?
- No, tej na papierosy.
- Dlaczego? - pytanie ojca zabrzmiało retorycznie.

Brat nabrał powietrza do płuc i wyrzucił z siebie:

- Bo palę!

Ojciec wstał i odpalił karabin maszynowy. Póki co ręczny:

- Smarkacz pali! To hańba! Do szkoły ku... teczkę nosić! Nie palić po kątach! Książki czytać! Lekcje odrabiać! Smarkateria pierd....! Papierosy w głowie! A gdzieś ty się tego nauczyłeś! Pewnie w szkole co? Zawsze mówiłem, że powinien iść do technikum, a nie do zawodówki! Bo tam same chamstwo chodzi! I pijaństwo się ku.... szerzy! Już wiem dlaczego nie chciałeś oddać kartki na wódkę! Pijesz i palisz! Co za młodzież! Co z nich wyrośnie! Co z ciebie wyrośnie jak palisz! Na raka ku.... umrzesz! O zdrowie trzeba dbać! I jak w tej Polsce ma być dobrze jak takie małolaty palą i piją!

Oczywiście przerywanie monologu nie miało sensu. Ojciec chodził po pokoju o powierzchni 15 metrów kwadratowych tam i z powrotem. Mama stała w drzwiach i ciężko wzdychała. Dobrze, że zebrała talerze ze stołu, bo ojciec w pewnym momencie oparł się o stół i już chciał coś chwycić, żeby tak pierd.... o podłogę, ale niczego nie znalazł.

- Nie w szkole, tylko u ciebie w zakładzie pracy się nauczyłem! Koledzy taty mnie nauczyli - triumfował brat.

Pracowali obaj w tym samym miejscu, tylko w innych halach produkcyjnych.

- No, już ja się z nimi jutro policzę – tym razem ojciec westchnął i usiadł na wersalce.

Po paru minutach pogodził się, że jednak będzie miał tylko trzydzieści paczek papierosów. Jak miesiąc będzie miał o jeden dzień dłuższy, trzeba będzie coś wykombinować.

- No to tato ostro kombinuj, bo ja też swoich kartek ci nie dam. Palę.

To było do przewidzenia. Moje słowa zadziałały na ojca jak czerwona płachta na byka. Zrobił się czerwony. Wstał, zaczął wykonywać niekontrolowane ruchy polegające na machaniu rękami we wszystkie strony. Włączył ckm czyli ciężki karabin maszynowy:

- Co? Kto? Po co? Dlaczego? Od kiedy? Dziewczyna pali! Brak przyzwoitości! To już nie skandal, to hańba, poruta, zgorszenie! Wstyd dla całej rodziny! Rozbój w biały dzień! Całkowita granda! Totalna arogancja! Szopka! Bezcelność! Drwina z całej rodziny! Pomiatanie rodzicami! Zuchwalstwo! Zbrodnia! Brak klasy, ogłady, wychowania!

Nie wiedziałem, że ojciec ma aż tak zasobny słownik języka polskiego. Kiedy zabrakło mu powietrza, odpalił ostatni pocisk, w stronę mamy:

- Jak ty dzieci wychowałeś!

Mama nie odpuściła.

– A ty co, nie mogłeś wychowywać? W więzieniu byłeś?

Tato syknął. Włożył płaszcz i buty. Trzasnął drzwiami. Wyszedł. Może realizować kartkę na wódkę.

Do dziś nie wiem, dlaczego ojciec nie zakumał, że palimy. Fakt, nie paliliśmy przy nim, on palił zawsze, do tego najgorsze z najgorszych papierosów bezfiltrowe „Sporty”. Śmierdziało nimi w całym mieszkaniu. Smród naszych, nieco lepszych papierosów marki Carmeny lub Zefiry nie przebił smrodu „Sportów”.

W każdym razie mieliśmy po owe kartkowe dziesięć paczek, no tatko dwadzieścia, co jednak nie wystarczało od pierwszego do pierwszego.

Następnego dnia po powrocie z pracy od razu udałam się do „ciotki”. Nie, nie mojej. Takiej miastowej. Młodszej od „babki”.

Zarówno jedna jak i druga były prekursorkami współczesnego handlu polegającego na zasadzie „tanio kupić, drogo sprzedać”. „Ciotki” i „babki” zajmowały się tym w swoich mieszkaniach, a podstawowym produktem była wódka. Kupowały ją po cenach normalnych, głównie w Pewexie, a sprzedawały drożej. Ich mieszkania nosiły miano meliny lub „mety”, a lokalizacja nie była tajemnicą. Nawet dla ówczesnej milicji (czytaj policji), która z usług pań też korzystała. Przyzwoita „ciotka” nie pozwalała bowiem na konsumpcję zakupionego towaru w pobliżu „mety”. Nikt zatem porządku publicznego nie zakłócał.

U „babki” nie było określonych godzin sprzedaży. Dwadzieścia cztery godziny i siedem dni w tygodniu. Podczas stypy i podczas bezalkoholowej komunii, pierwszej oczywiście.

„Ciotka”, z której usług korzystała nasza paczka, zajmowała się również handlem innymi produktami oraz pośredniczyła w przekazywaniu wiadomości.

W latach późniejszych zwróciłam się do niej z prośbą o wiadomość na temat dostawy pralek automatycznych do sklepu. Poinformowała. Wczesnym rankiem stanęłam w kolejce jako jedna z pierwszych i pralkę dostałam. „Ciotce” odpałam prowizję, bo tak to teraz się nazywa.

Poszłam więc do niej, żeby ubić interes.

Przyjęła mnie oczywiście mile, wysłuchała, zgodziła się, podałyśmy sobie dłonie na znak zawartej umowy.

Otóż „ciotka” ceniła stały, chociaż nieco mniejszy dopływ gotówki, a ja zaproponowałam jej, że każdego dziesiątego każdego miesiąca będę przychodziła po przydziałowe dziesięć paczek papierosów.

Przy stałym odbiorze cena za paczkę była niższa niż ta, która obowiązywała na targowisku. Miałam więc już całe dwadzieścia paczek. Może uda się przeżyć....

## **W rytmie disco**

Zabawa taneczna zwana dyskoteką była na początku lat osiemdziesiątych w pełnym rozkwicie. To nie prawda, że lud tylko siedział w domach i knuł przeciwko władzy ludowej lub organizował nowy związek zawodowy. Lud się również bawił. Przy dźwiękach przebojów Boney M., Ottawana (ci od „Hand up”), ABBY, Bee Gees. Istniała już Budka Suflera, a przy przeboju „Znowu w życiu mi nie wyszło” czyli „Sen o dolinie” dziewczyna pochlipywały na ramionach chłopaków.

Rozpoczęła się złota era polskiego rocka, który też pojawiał się w dyskotekach jako tzw. taniec wolny czyli „tango przytulango” lub „pościelowa”.

W takim właśnie roku, 1981 zresztą, tradycyjnie spędziłam wakacje w Wałbrzychu. Napisałam do wujka list, że przyjeżdżam określonego dnia, wsiadłam w pociąg, ten sam co w 1976 roku. Tym razem obyło się bez przestojów i wysiadłam w rodzinnym mieście o przyzwoitej godzinie.

Taksówka dojechałam pod poniemiecką kamienicę rodziny. W drzwiach ich mieszkania zastałam kartkę „Klucze u sąsiadów”.

Co się dzieje? Tak rano gdzieś wyszli? Zapukałam do sąsiednich drzwi.

- O, już jesteś? - przywitała mnie sąsiadka. – Wujek z ciocią wyjechali – oznajmiła z uśmiechem. - w domu masz list od nich.

Jak to wyjechali? Przecież ja przyjechałam! - chciałam krzyknąć, ale się opanowałam.

Weszłam do mieszkania. W kuchni na stole leżał list. Zaczynał się od sformułowania, że przyzwoitość nakazuje, by najpierw się spytać, czy można przyjechać, potem oczekiwać na odpowiedź, a dopiero potem przyjeżdżać. Ale skoro złamałam zasady, to mam radzić sobie sama i dobrze opiekować się zwierzętami.

Na parapecie siedziała kotka Kaśka. Do moich nóg łąsiła się sunia Aza, takie dziewięćdziesiąt procent wilczura, a w przedpokoju w akwariium leżała świnka morska o imieniu Baśka. Żeby się rymowało z Kaśką.

Wuj zawsze prowadził mini ZOO....

W lodówce była jedna konserwa mięsna i dwa jajka. Na szczęście została mi z podróży jedna kanapka. Usmażyłam jajka, wypiłam herbatę (też była) i położyłam się spać, by odpocząć po podróży.

Obudziłam się po kilku godzinach z radosną myślą. Ludzie, ja mam przez dwa tygodnie wolną chatę!

Trzeba sobie ten dar od losu zorganizować!

Na pierwszy plan – rozrywka, wszak są wakacje.

W mojej starej dzielnicy Wałbrzycha – na Nowym Mieście, gdzie nadal mieszkała rodzina, istniał wówczas Jazz Club, taki sobie lokal z dyskoteką. Zabawa taneczna odbywała się w piątki, soboty i niedziele. Trwała do białego rana, co trudne w lipcu nie było.

Zaczęłam tam bywać.

Była świetlista kula, był stroboskop i inne świecidełka. W barze sprzedawano napoje chłodzące, a nawet bezkarkowe wino. Marki wino oczywiście, czyli tanie jabole. Prawdziwy alkohol lał się pod stolikami do niewielkich szklanek zwanych „literatkami”. Wszyscy o tym wiedzieli, nikt nie protestował.

Wtedy po raz pierwszy widziałam działania tzw. ochrony. Przy wejściu stało dwóch z sylwetką i twarzą, co to pięć lat bez wyroku. Pilnowali porządku. Jeśli ktoś przesadził, na przykład w zalotach, brali delikwenta za kark i wywalali z lokalu. Normalny człowiek miał poczucie bezpieczeństwa.

Dyskoteka grała. Lud się bawił.

Do domu wracałam skoro świt. Z reguły wyprowadzałam Azę, żeby zwierzątko się wysiusiało, po czym padałam zmęczona do wyra i spałam do samego południa.

Fajni ludzie tu przychodzili. Część nawet mnie kojarzyła. Kiedyś trafił się chłopak, który opowiedział mi prawie cały mój wałbrzyski życiorys, a ja nie miałam bladego pojęcia kim jest. Po przeprowadzeniu śledztwa wraz z koleżanką z podwórka, odnalazłyśmy człowieka. To sąsiad z sąsiedniej klatki. Kiedy wyjeżdżałam z Wałbrzycha miał dwanaście lat... jako piętnastolatka nie zwracałam uwagi na małolata. Tymczasem wyrósł na całkiem fajnego faceta.

W innym przypadku przez własną głupotę naraziłam się na.... no, może dziś po wielu latach.... na przeżycie przygody.... wtedy czułam się zagrożona.

Przypadek był wysokim brunetem z ciemnymi oczami. Niemłody, ale jeszcze przed trzydziestką. Ubrany w koszulę i normalne spodnie. Zupełnie niedyskotekowy styl. Zaprosił mnie do „pościelowy”, potem do baru. Nie rozlewał gorzały pod stołem. Kupił całą butelkę wina, którą sączyliśmy przez cały wieczór i prawie całą noc. Mówił poprawną polszczyzną. Oczywiście postanowił mnie odprowadzić do domu.

Byłam pod jego urokiem do tego stopnia, że w pewnym momencie palnęłam:

- A tak sobie sama mieszkam, rodzinka wyjechała.
- Niemożliwe? Naprawdę? Czuję się zaproszony.

W jego oczach pojawił się błysk. Szybko jednak zmienił się w czerwone alarmowe światło. No, nieźle.... co robić... W sumie ma to swoją dobrą stronę.... nie zaciągnie mnie w żadne krzaki w

drodze powrotnej. Będzie czekał na wejście do domu... Dobra, gramy dalej.

Dyskoteka się skończyła. Zaczęło wschodzić słońce. Mój partner kupił kolejną butelkę taniego wina.

- Żeby nam się lepiej rozmawiało.... - uśmiechnął się czarująco. - A długo tak będziesz sama mieszkała? - zapytał zniechęcony.

Co choroba, wprowadzić się chce?

- W sumie nie wiem, wuj nie powiedział dokładnie, kiedy wraca. Może jutro, może za tydzień... pojechali z ciotką na Mazury.

I tak rozmawiając o wszystkim i niczym dotarliśmy do kamienicy.

- Wiesz, poczekaj tutaj chwilę, ja sprawdzę, czy przez przypadek nie wrócili. Jeśli nie, to dam ci znak przez okno i wejdiesz – powiedziałam z nutą zalotności w głosie.
- Które to mieszkanie? - zapytał równie zalotnie.
- To po lewej na parterze.

Szybko weszłam do mieszkania. Zamknęłam je na dolny zamek, na zasuwę u góry i dodatkowo na łańcuch. Teraz sobie włącz!

Wyjrzałam przez okno. Stał pod nim z butelką wina.

- I jak?
- Nie ma ich.
- To idę.
- Raczej nie. Straciłam ochotę na wino.

Pod oknem stała ławka. Wszedł na nią.

- Wejdę oknem – rzekł pewnym głosem.
- Poczekaj chwilę.... Aza, chodź do okienka....

Azie nie wolno było opierać się o parapet i wyglądać przez okno. A bardzo to lubiła i wykorzystywała każdą okazję, by pooglądać świat w ten sposób. Teraz była szczęśliwa, bo otrzymała pozwolenie. Wystawiła swój wielki psi łeb i zaczęła radośnie machać ogonem. Z triumfującym uśmiechem stanęłam za nią.

- Włącz, na własne ryzyko.
- Taka jesteś cwana....
- A ty naiwny. Jak można było uwierzyć, że wpuszczę cię do obcego mieszkania....

Człowiek zszedł z ławki. Rzuciła na pobliski trawnik wino i odszedł. Najbardziej spokojny pies, jakiego kiedykolwiek znałam, spełnił swe zadanie obrony przed nieprzyjacielem.

Kiedy w godzinę później wyprowadzałam Azę na poranne siusianie, wina na trawniku już nie było. Ktoś skorzystał.

Rodzina wróciła według planu po dwóch tygodniach. Oczywiście wujek musiał ponownie powiedzieć, że najpierw się pyta, potem się czeka na odpowiedź, a dopiero potem się przyjeżdża. Zapamiętałam to do końca życia.

Następnego dnia rano obudziły mnie krzyki z kuchni. Co jest, do jasnej cholery? Ledwie wrócili z urlopu, a już awantura?

Wuj kłócił się z ciotką.

Gdy wkroczyłam do kuchni, uznałam, że ciotka miała rację. W upalny letni dzień wuj rozpałał ogień pod węglową kuchnią.

- Do cna ci ten alkohol mózg wypalił! Rozpalać pod kuchnią w taki dzień!
- Musi się suszyć. Musi!

Na sznurku rozwieszonym wysoko nad kuchnią wisały duże brunatne liście. Widywałam je na wsi, w której pracowałam. Domy były nimi obwieszane.

Machorka.

Tytoń znaczy się.

Jako pamiątkę z urlopu na Mazurach wuj przywiózł najcenniejszą rzecz – produkt do palenia.

Kibicowałam suszeniu. Dokładałam do kuchni.

Najpierw suszyliśmy duże liście. Potem wuj pokroił je. Suszyliśmy na starej patelni. Po trzech dniach wyschły i przypominały tytoń.

I oto zrobiliśmy pierwszego papierosa, zwanego skrętem. Tytoń zawijało się w kawałek papieru, głównie gazety. W rodzinie to ja dokonałam epokowego odkrycia – najlepszą gazetą na skręty była radziecka „Prawda”, trudna do zdobycia w polskich kioskach. Na szczęście w Wałbrzychu było coś co nazywało się Międzynarodowy Klub Książki i Prasy. Tu można było dostać gazety z bratnich krajów bloku wschodniego.

„Prawdę” odkryłam wcześniej, bo skręty robiło się też już dużo wcześniej. O ile papierosy były na kartki, to tytoń można było kupić w kioskach Ruchu. Lekcje robienia skrętów popieraliśmy z filmów o tematyce drugiej wojny. Tam żołnierze też robili skręty.

Podpaliliśmy „papierosa”.

Wydobył się z niego śmierdzący dym.

Trudno wyczuć, czy śmierdziała „Prawda” czy machora z Mazur.

Nieważne. „Sporty” też cuchną.

Zaciągnęliśmy się.

Oczy wyszły mi z orbit.

Zabrakło powietrza.

Zaczęłam się dusić.

Wuj walił mnie po plecach.

Potem ja jego.

Ciotka wrzeszczała.

Mieszkanie pokryła chmura substancji radioaktywnej.

Tak się nam przynajmniej wydawało.

My dochodziliśmy do siebie.

Ciotka nadal wrzeszczała.

- Zaraz sąsiedzi straż pożarną wezwą! Taki dym! Taki smród! Z takim paleniem na dwór! Mieszkanie zaczadzili!

Rzeczywiście, nie dało się palić. Gdzie popełniliśmy błąd?

Wuj zabrał Ażę na spacer. Ja dochodziłam do siebie leżąc na tapczanie popijając wodę. Ciotka robiła przeciągi w mieszkaniu, bo było totalnie zakopcone.

Po godzinie wuj wrócił. Z kieszeni wydobyl małe listki.

- Już wszystko wiem. Masz może cytrynę? - zapytał ciotkę.

Ta wzruszyła ramionami i puknęła się w czoło.

- W dzisiejszych czasach cytrynę....

Produkcja domowego tytoniu na skręty ruszyła ponownie. Tym razem machorka suszyła się nadal z listkami wiśniowymi. Marzeniem było dodanie do tego suchej skórki od cytryny. Byli tacy, co takowy owoc posiadali.

W sumie po tygodniu produkt nadawał się do spożycia czyli palenia.

Wracając pociągiem do domu, w korytarzu takowego stała solidna grupa palaczy z tytoniem w



woreczkach różnego typu. Niektórzy mieli stylizowane na średniowieczne sakiewki, inni bawełniane torebki, ktoś torebkę papierową. Robiliśmy skręty wymieniając uwagi na temat ich składu.

Polski przemysł prywatny (a był, był) szybko zareagował na potrzeby rynku i wyprodukował specjalne „maszynki” do robienia papierosów. Potem pojawiły się gilzy, co oznaczało powrót do czasów wojennych. Człowiek siedział wieczorem przed telewizorem i robił sobie papierosy. Tytoń luzem był dostępny w znanych nam kioskach Ruchu.

Ale skrętów mazurskiej machorki z wiśniami, nic już potem nie przebiło.

## 1981

### Armia

We wrześniu 1981 roku mój brat otrzymał bilet do wojska. Normalna sprawa. Taki jesienny pobór. Dwuletnia zasadnicza służba wojskowa była obowiązkowa dla każdego faceta. Większość chciała się z niej „zwolnić” starając się o kategorię C, D lub E zwaną „do schronu przed kobietami i dziećmi”. Czy ta ostatnia była – nie wiem.

Pobyt w wojsku jedni nazywali wyrokiem, drudzy dziurą w życiorysie, a inni – męską szkołą życia. W każdym razie człowiek zniknął na dwa lata ze swego naturalnego środowiska, trafiał do koszar, które stawały się dla niego drugim domem.

Mój brat miał kategorię A, zatem służba mundurowa i koszary były mu pisane. Tradycyjną imprezą w przypadku otrzymania owego biletu było pożegnanie. W domu poborowego zbierali się przyjaciele. Pili. Płakali. Śpiewali piosenki patriotyczne typu „Przyjedź mamó na przysięgę”, „Do woja marsz, do woja”, oraz partyzanckie „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”, „Idą leśni, kompas mają z gwiazd”. Obowiązywał repertuar z ówczesnych festiwali piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu.

Rodzice oczywiście wyrazili zgodę na wielkie pijaństwo, pod warunkiem, że o północy gości już w domu nie będzie. Sami udali się na swoją imprezę.

Tak więc impreza się odbyła. Goście o oznaczonej godzinie mieszkanie opuścili. W zlewozmywaku zgromadziliśmy brudne naczynia. Pod taboretami stanęły puste butelki, towar cenny, bo można go było sprzedać. Rodzice wrócili. Wszyscy zasnęliśmy w swoich pokojach.

Pech chciał, że rano ok. dziewiątej zgoniła mnie z łóżka potrzeba fizjologiczna. Kiedy

opuszczałam łazienkę, rozległ się dzwonek u drzwi. Wyjrzałam przez dziurkę, czyli tzw. „judasza”.

Po drugiej stronie stała kobieta wieku średniego.

Zaspana, skacowana w koszuli nocnej, otworzyłam.

- Taaakkkk.... - zamruczałam pod nosem.
- Czy tu mieszka ten a ten? - zapytała zupełnie normalnie.
- Taaakkkk .....
- To proszę go poprosić – poprosiła łagodnie.

Zapukałam do pokoju brata.

- Ktooooo ... doooo .... ciebie.... wstawaj...

Zaspany, skacowany brat wyszedł w samych slipach.

- Ktooooo.... tam....

Pani spojrzała obojętnie.

- Pan ten a ten?
- Nooooo....
- Ma pan bilet do wojska?
- Nooooo.... naaa jutroooo....
- Jestem z WKU (taki organ zwany Wojskową Komendą Uzupelnień), proszę oddać mi ten bilet. Nie idzie pan do wojska.

Z pokoju rodziców wyszła mama. Zaspana, chyba też skacowana.

- Co się dzieje? - zapytała w miarę normalnie przecierając oczy.
- Pani przyszła po bilet. Mówi, że nie idę do wojska – oznajmił brat.
- I bardzo dobrze. Oddaj i wracajcie do łóżka. Niedziela jest. Spać trzeba. - odezwał się z pokoju skacowany tato.

Brat poszedł do pokoju. Z portfela wyciągnął kawałek papieru.

- A to nie jest jakiś numer kumpli? - upewniał się.
- Nie, proszę jutro przyjść do WKU, to dowie się pan więcej. Dziś zbieramy bilety od ludzi, którzy jutro mieli stawić się w jednostkach.

Pani powiedziała jeszcze „do widzenia” i poszła sobie. Rodzice ponownie zamknęli się w pokoju.

Brat usiadł na taborecie w kuchni. Spojrzał na stertę brudnych naczyń. Potem na rząd pustych butelek pod kolejnymi taboretami.

- Cholera, tyle gorzały poszło na marne....

Dziwne czasy....

Sprawa wkrótce się wyjaśniła. Oto osiemnastego października Rada Ministrów przedłużyła o 2 miesiące służbę wojskową żołnierzy wojsk lądowych, którzy kończyli drugi rok służby. Mówiąc

normalnie – stary rocznik do domu nie wrócił i został w koszarach, w związku z czym zabrakło miejsca na nowy rocznik.

Stary rocznik wył i płakał. Nowy pił z radości. Przynajmniej do osiemnastego grudnia miał spokój. Liczył również na to, że przed świętami nikt nie będzie miał czasu na zajmowanie się młodymi żołnierzami. Odpowiednie służby zajmą się sprząaniem koszar po starych żołnierzach. Zagrożenie zasadniczą służbą wojskową nadejdzie w styczniu. A do tego czasu wiele się jeszcze może wydarzyć.

Kilka dni po pozostawieniu starych w wojsku powołano do życia Terenowe Grupy Operacyjne. Wojskowe. Miały chronić, pomagać i wspierać ludność cywilną w obliczu zbliżającej się zimy, która miała być ostra i nieprzyjemna dla otoczenia.

W miastach i miasteczkach zamieszkali żołnierze. Niektórzy twierdzą, że zjechali z ciężkim sprzętem wojskowym. Dość szybko owe grupy otrzymały ksywę „Czerwone brygady”. Czy miało to związek z włoską organizacją terrorystyczną czy z ustrojem ówczesnej Polski – nie wiem. Wkrótce miałam się z nimi spotkać....

Chyba było to w listopadzie.... Sypnęło śniegiem. Ostro sypnęło. Rano, razem z innymi, wsiadłam w autobus, by dotrzeć do pracy. Autobus dojechał do ostrego zakrętu na drodze prowadzącej do małej wiejskiej szkółki i stanął.

– Dalej nie jadę. Zaspą. - zakomunikował kierowca.

Nie pierwszy to raz na owym zakręcie robiła się wielka śnieżna zaspą. Tak po prostu zawiewało. Taki po prostu był klimat owej drogi. Przez cztery lata pracy zdarzało się nam wysiadać w tym miejscu i zasuwać dalej pieszo, ot tak ok. czterech kilometrów.

Po cichu liczyliśmy, że ktoś tę zaspę usunie. Niestety, popołudniowy autobus nie przyjechał. Do szosy ponownie szliśmy pieszo. Następnego dnia – replay. Ani śladu pług śnieżnego i piaskarki.

Dwie wsie odcięte od cywilizacji.

No dobra, bez przesady, prąd był.

Woda w studniach nie zamarzła.

W piecach palono resztkami węgla i drewnem z pobliskich lasów.

Dym był ekologiczny.

Ale dojazdu do wsi nie było.

Analizując rolę przydawki w zdaniu pojedynczym rozwiniętym, stwierdziłam, że czas zmierzyć się z propagandą i ustalić, ile jest prawdy w tym, co telewizja mówi.

Oczywiście w szkole lekcje były skrócone, żeby kadra mogła wrócić do domu jeszcze przed zmrokiem. Ale zanim trafiłam w domowe pielesze, odwiedziłam siedzibę „czerwonych brygad”.

- Dzień dobry. Chcę rozmawiać z głównodowodzącym. - powiedziałam z uśmiechem wchodząc do pokoju pełnego mężczyzn wartych grzechu.
- A w jakiej sprawie? - zapytał jeden z nich z belkami na ramieniu.

Na stopniach wojskowych się nie znałam. Akurat ta lekcja z przysposobienia obronnego uciekła mi z pamięci. Wiedziałam jedynie, że „belki” są słabe. Najważniejsze są „gwiazdki”. Uśmiechnęłam się więc uroczo:

- Ważnej.

Z drugiego pokoju wyszedł „gwiazdkowy”.

- Słucham.
- Czy wojsku polskiemu zależy, żeby młodzi obywatele w każdym mieście, w każdej wsi mieli pełny dostęp do oświaty?
- Oczywiście.
- Czy wszystkim nam zależy, aby na te wsie docierała wykwalifikowana kadra pedagogiczna, żeby kształcić młode pokolenie w duchu miłości do ludowej ojczyzny?

Spojrzałam człowiekowi w oczy, czy czasem nie przeginam.

- Tak jest.
- To trzeba owe zadania ułatwić. Jesteście tu, by pomagać narodowi przetrwać ciężkie chwile.
- Tak jest - „gwiazdkowy” nie kumał o co chodzi, ale odpowiadał regulaminowo.
- To jest okazja, żeby się wykazać.
- O co chodzi?

Nareszcie normalne pytanie.

- O drogę do szkoły. Macie mapę powiatu? To ja na mapie pokażę.

Mapa została rozłożona na stole.

- Tu jest droga, którą codziennie nauczyciele pokonują, by dotrzeć do szkoły. A tu jest ta szkoła. A w tym miejscu, jak zresztą widać, jest zakręt, prawie dziewięćdziesiąt stopni. Obecnie całkowicie zasypany przez śnieg. Autobus dojeżdża tylko dotąd. A potem nauczyciele idą blisko cztery kilometry do szkoły. Przychodzą zmęczeni. Do tego martwią się, jak wrócą do domów. To sprawia, że nie pracują wydajnie. A co będzie jak się

rozchorują? Kto będzie uczył wiejskie dzieci miłości do ojczyzny?

„Gwiazdkowy” spojrział na mnie i zakłopotany zapytał:

- A co my mamy zrobić w takiej sytuacji?

Brawo! Kolejne mądre pytanie!

- Odsnieżyć drogę!
- Ale to raczej prośba do służb innych, do tych, co dbają o drogi...

Ponownie się uśmiechnęłam:

- Takie służby to już tam były. Dojechały do zasy i wróciły. Lekki pług i piaskarka tam nie pomogą. Nie przebiją się przez tę cholerną zaspę!

Mój, całkiem kontrolowany wybuch, wywarł wrażenie.

- Tu potrzebny ciężki pług. Bo przez tę zaspę to już trzeba się ostro przebić i śnieg wywalić na pobocze. Nie prosto, ale na boki. I to solidnie. Wojsko chyba taki pług ma? Macie przecież pomagać ludności w przetrwaniu ciężkiej zimy....

Zaległa cisza. Faceci warci grzechu spojrzeli na siebie i na „gwiazdkowego”. Ten westchnął i ponownie spojrział na mapę.

- Proszę pokazać jeszcze raz, gdzie potrzebny ten pług.

Pokazałam. Zapisał coś w swoim notatniku.

- Mam nadzieję, że jutro spokojnie dojadę do pracy.... - szepnęłam nieco zalotnie.
- Zobaczymy co da się zrobić, nie obiecujemy, ale zobaczymy...

Zobaczyłam.

Następnego dnia zaspą była rozkopana. Do tego odsnieżna droga przez dwie wsie. W niektórych miejscach nawet asfalt było widać, tak ostro pług pracował. Ba, nawet nasz piaszczysty trakt do szkoły został odsnieżony. Wszystko wysypane piaskiem. Świeżym piaskiem, co oznaczało, że drogę posypano tuż przed przyjazdem autobusu.

Ludzie opowiadali, że poprzedniego dnia po zmroku na zakręcie trwało ostre rozkopywanie zasy. Oprócz dwóch pługów, pracowali łopatami żołnierze. Pewnie ci, z przedłużonej służby wojskowej....

Od tamtej pory do owego dnia, droga do naszej szkoły była zadbane nie gorzej niż inne, znacznie ważniejsze zwane szosami pierwszej kolejności odsnieżania.

Aha, mój brat nigdy do woja nie doszedł. W rok później zgłosił się do odbycia zasadniczej służby wojskowej w straży pożarnej. Pełnił ośmiogodzinne dyżury przy telefonie przyjmując zgłoszenia o pożarach, podpaleniach i innych sprawach zgłaszanych przez telefon. W domu szeptem mówiono, że to tato dostępnymi kanałami załatwił mu pracę lekką i przyjemną.

## Wojna!

Trzynastego grudnia, w niedzielę, wstałam po cichu o szóstej rano. Wrzuciłam coś do żołądka i poszłam na dworzec autobusowy. Wyjeżdżałam na zjazd. Nie, nie partii. Zjazd studentów zaocznych, bo byłam studentką drugiego roku studiów zaocznych w Białymstoku. Takowi spotykali się średnio raz w miesiącu i nazywano takie spotkania zjazdami.

Ze studiami dla nauczycieli w czasie socjalizmu było fajnie. Wszędzie, a zwłaszcza w małych wiejskich szkółkach, brakowało nauczycieli. Przyjmowano do nich do pracy ludzi bezpośrednio po maturze. Wystarczyło popracować dwa lata i zdobyć tzw. kwalifikacje pedagogiczne (jakieś kursy były), aby starać się o skierowanie na studia zaoczne na kierunek związany z nauczaniem przedmiotem. Skierowania wydawało kuratorium w każdym województwie. Pierwszeństwo mieli nauczyciele z najdłuższym stażem. Stąd też na studiach spotykali się ludzie od 21 roku życia po „czterdziestkę”.

Nikt za ową naukę nie płacił. Ojczyzna wzięła na swoje barki kształcenie nauczycieli. Jadąc na „zjazdy” oraz egzaminy braliśmy „delegację”. Zwracano nam za przejazd i otrzymywaliśmy tzw. diety czyli forszę na zaspokojenie potrzeb żołądka.

Zapewniano nam bezpłatne noclegi. Warunki były co prawda spartańskie, ale jak wiadomo z historii spartanie dzięki nim byli ludźmi odpornymi na wszelkie trudy i przeciwności losu.

Właściwie to takim młodym jak ja, skierowania wydawano z oporami. Wiedziałam o tym.

Porozmawiałam z rodzicami, powiedziałam o chęci dalszej nauki. Byli zachwyceni. Przynajmniej jedno dziecko chciało się uczyć. Brat zakończył edukację na zawodowce i ani myślał o dalszej nauce.

Rodzice porozmawiali z kimś i pewnego dnia mama, wróciwszy z pracy, powiedziała:

- Kupuj dobry koniak. Dostaniesz skierowanie na studia.

Koniak kupiłam. Do dziś nie wiem dla kogo. Wiosną 1980 otrzymałam papierek i mogłam rozpocząć studia.

Tak więc owego sądnego dnia pojechałam poszerzać swą wiedzę, by lepiej uczyć dzieci. W sumie nauka nie sprawiała mi kłopotu, ale tym razem miała problem z jednym ćwiczeniem. Trzeba skonsultować z innymi.

W naszym domu noclegowym zastałam parę osób.

- Cześć! Dobrze, że jesteście, mam problem z tym ćwiczeniem o liczbach....
- Opuść sobie, jaki problem. Wojna jest – smutno odpowiedziała Maryśka.

- Jaka wojna?

Przed oczami stanął mi serial „Czterej pancerni i pies”. Zaczęłam wsłuchiwać się w ciszę za oknem. Nie słyszałam strzałów ani z karabinów ani z dział bojowych.

- Gdzie ta wojna? - kontynuowałam.
- W całej Polsce – oznajmiła Baśka.

Za oknem nadal panowała cisza.

Usiadłam na łóżku. Rzeczywiście coś było nie tak. Moje koleżanki były bardzo przestraszone. Na stole panował porządek. Z reguły tuż po przyjeździe wyciągałyśmy jedzenie, robiłyśmy herbatę i rozmawiałyśmy na temat zadań domowych.

- Trochę więcej wiadomości proszę.

Zaczęła Kryśka:

- Rano w radio słyszałam, że o północy wybuchła wojna. Jaruzelski tak powiedział. Nie wiem kto z kim walczy, ale słowo wojna padało wielokrotnie.
- Ruscy na nas napadli? - dopytywałam się.

Od pewnego czasu straszono nas wkroczeniem wojsk zaprzyjaźnionej Armii Czerwonej do Polski. Białystok blisko granicy, więc zaraz będziemy tu mieć czołgi z gwiazdką.

Zaraz, zaraz, jeśli wojna wybuchło o północy to już czołgi i wozy opancerzone powinny tu być.

Byłam ostatnia, która wkroczyła do noclegowni.

- Nie ma ruskich na ulicy – uspokoiliłam koleżanki. - Ale jeśli słyszałaś, że wojna to po co przyjeżdżałaś?
- Sama nie wiem...

Pozostałe koleżanki, tak jak i ja, o niczym nie wiedziały. Wsiadły w autobus i przyjechały uczyć się.

Zeszłyśmy do recepcji naszego lokum. Siedziała tam nie mniej od nas wystraszona pani, która też wiedziała, że jest wojna. I tyle. Zadzwoić nigdzie nie mogła, bo telefon nie działał.

Jak się później okazało, nie działały w całej Polsce.

Co chwilę wyglądałyśmy przez okno wypatrując wojska. Nasłuchiwałyśmy, czy nikt nie strzela.

- Nie, takie siedzenie nie ma sensu. Zobaczcie, już nikt nie przyjeżdża. Jesteśmy tu same. Trzeba jechać na uczelnię. Tam się wszystkiego dowiemy – zaproponowała Maryśka.

Na uczelnię dotarłyśmy bez problemu miejskim autobusem. Na ulicach panował spokój. Taki zwyczajny, niedzielny.

Na uczelnianych korytarzach było sporo osób z różnych kierunków. Większość przyjechała, tak jak ja, zupełnie nieświadoma zagrożenia wojennego. Wstali po cichu rano, wsiedli w autobus i przyjechali. Była też grupa miejscowych, czyli z Białegostoku. Ci przyszli z ciekawości, dowiedzieć się, co stanie się na „uniwerku”.

W jednej z sal włączony był telewizor. Na kineskopowym czarno-białym ekranie nieustannie pojawiał się generał w ciemnych okularach i mówił o zagrożonym bycie ojczyzny, konieczności interwencji w obliczu klęski i odpowiedzialności. W wyniku tych trosk o północy wprowadzono stan wojenny.

Co to stan wojenny? Patrzyliśmy na siebie bojąc się zapytać. O stanie wyjątkowym słyszeliśmy, że coś takiego może być na zachodzie Europy i w USA, ale pojęcie stanu wojennego było nam zupełnie obce. Było co prawda kilku studentów historii, próbowali nam opisać, wyjaśnić, wskazać. Ale jakoś odporne byliśmy i niekumate.

Najważniejsze, że to nie wojna, że Armia Czerwona nie wkroczy (choć... kto to wie... mówili niektórzy), a wojsko spacerujące po ulicach będzie polskie.

Mimo to nastrój grozy był nadal. Co robić? Będą te zajęcia czy nie? Płakać czy się cieszyć?

Telewizor w przerwach podczas nieustannego powtarzanie przemówienia generała, przekazywał wiadomości co wolno, a czego nie wolno. Zakazów było więcej. Taki zakaz podróżowania na przykład. Mamy koczować na uczelni? Ja chcę do domu! O, Baśka też chce! A co będzie jeśli nas złapią? I zainternują?

Co to za słowo? Nauczyliśmy się nowego – internowanie, bliskoznaczne do wyrazu „aresztowanie”.

Pamiętałam je z filmu „Orzeł” - w wrześniu 1939 polski okręt podwodny „Orzeł” został internowany w Estonii. Znaczy się zatrzymany. Ale zwiął! Może trzeba zwiewać?

Telewizor mówi, że internowano wiele osób. Może jeszcze jest czas?

Ile osób było wówczas na terenie uczelni, tyle opinii i propozycji.

Czy ktoś mógłby za nas podjąć decyzję, bo Baśka już płacze? Ma najdalej do domu. Co będzie jak zainternują pociągi PKP i autobusy PKS?

Doczekaliśmy się wreszcie przedstawiciela władz uczelni. Człowiek był nie mniej wystraszony niż my.

- Proszę państwa, odwołujemy zajęcia na tym zjeździe. Proszę spokojnie wracać do domów, do rodzin. Póki co w naszym mieście panuje spokój. Nie zaobserwowano ruchów obcych wojsk. Mniejmy nadzieję, że w państwa miejscowościach też jest jeszcze spokój.

No tak, zasugerował, że czekamy na owe wojska. Dobra, zbieramy się stąd. Nie ma nauki. Jest wojna, czy jakiś tam stan wojenny i trzeba do domu, do rodzin.

Pożegnaliśmy się wszyscy czule, jakbyśmy mieli już nigdy się nie zobaczyć i ruszyliśmy w stronę dworców PKP i PKS.



Wsiadłam w pierwszy autobus odjeżdżający do Łomży. Niestety, to była najgorsza z tras – przez Mężenin, Rutki.... Trasa zwana widokową, bo jedzie się wolno i podziwia widoki za szybą. Co sołtys to przystanek, co plebania też, o sklepie Gminnej Spółdzielni nie wspomnę.

Tak, wiem, dziś jest znacznie lepiej nawet na tej trasie, ale tkwimy wciąż w roku 1981, na dodatek jest trzynastego grudnia. Dużo śniegu, mróz.

Najpierw spokojnie, polskim ogórkiem czyli Jelczem 043, jedziemy krajową „ósemką”, a potem skręcamy i.... Kierowca zaczyna głośno kląć:

- O, sku.... syny, kur.... ja pierd.... Mówili, że odśnieżona!

Uśpiony autobus z niewielką ilością pasażerów obudził się.

- Co się stało? - ryknęliśmy w stronę kierowcy.
- Zobaczcie sami.

Podeszliśmy do kierowcy i spojrzeliśmy na drogę. Znajdowały się na niej dwie koleiny po przejeździe ciągnika, pewnie polskiej marki „Ursus”. Być może przejechał raz, być może dwa. Skojarzenie miałam jednoznaczne – czerwiec 1976, tory kolejowe i też Ursus.

- Rano nie kazali mi tędy jechać, bo nie było odśnieżone. Teraz miało być. Kur.... ja pierd....
- Cofaj pan do tyłu – poradził facet w dojrzałym wieku.

Chciałam mu powiedzieć, że cofnąć można się jedynie do tyłu, ale co tam. W sytuacji zagrożenia należy zachować spokój.

- Nie da rady. Jest pod górkę. Nie cofnę. Kur.... ja pierd....
- Stoisz pan w koleinach, to jedź pan dalej i trzymaj się ich.

Wolno ruszyliśmy. Przetaczaliśmy się przez sołectwa, plebanie i sklepy. Brnęliśmy wśród ośnieżonych pól do celu. Wokół panowała niezmacona niczym cisza. Każdy trzymał zaciśnięte dłonie. Niektórzy pewnie się modlili.

I wreszcie zobaczyliśmy w oddali szosę posiadającą status pierwszej kolejności odśnieżania.

Widzieliśmy kilka aut, które poruszały się znacznie szybciej niż my.

Jeszcze tylko trochę, jeszcze tylko kawałek....

I trach! Czy to ręka kierowcy zdrząła, czy śnieżny tor nie był już tak prosty, w każdym razie wypadliśmy z niego. Nie, nie żadnej tragedii. Nawet w rowie się nie znaleźliśmy. Po prostu – zaspą. Teraz to już wszyscy zaklęli.

- Kur... my pierd....my

Trzeba było pojazd z zaspą wydobyć. Pod przewodnictwem kierowcy zaczęliśmy usuwać śnieg, pod koła podkładać wszystko, co miało umożliwić poruszanie się kół w określonym kierunku, a nie tylko w miejscu. Ktoś w szczerym polu dostrzegł drzewko. Poszedł i oskubał je z gałęzi. Ja poświęciłam niezapisany zeszyt. Chciałam wrzucić pod koła wszystkie studenckie notatki, bo

wojna i po co się uczyć. W porę jednak przypomniałam sobie tajne nauczanie z okresu drugiej wojny i stwierdziłam, że może jednak notatki jeszcze się przydadzą.

Pod kołami pojawiły się jeszcze stare szmaty, „Trybuna Ludu”, papier po kanapkach.

– Dobra, teraz ja siadam za fajerę, a wy pchajcie – wydał dyspozycje szef czyli kierowca.

Silnik zahuczał.

Załapał.

Zaparliśmy się.

Razem.

Solidarnie.

Wszyscy.

W imię wspólnego dobra.

Żeby cholera jasna dotrzeć do domu!

Wojna przeca jest!

„Ogórek” wskoczył ponownie w koleiny.

Do dworca dojechaliśmy bez problemu. Wszyscy rozbiegli się w swoje strony. Zmęczona, z torbę wypełniona ciuchami na trzy dni, zeszytami i książkami też ruszyłam rozglądając się wokół i szukając śladów obcych. Wojsk oczywiście. Chociaż pojawienie się Marsjanina też byłoby znakiem wojny. Światów oczywiście.

Nic z tego. Wszędzie cisza.

Zbliżyłam się do kawiarni, w której zwykliśmy zamawiać „raz posiedzieć”. O, co się tam dzieje? Są ludzie, hałas, rozmowy... Tajna narada? No nie, za głośna....

Lokal wypełniony był ludźmi. Młodymi. Pili herbatę z cukrem. Ktoś pod stołem rozlewał gorzałę do szklanek po herbacie. Ktoś zanosił się śmiechem.

Przy „naszym” stoliku siedział z kumplami mój brat.

- O, cześć siostra! Już wróciłaś?
- Zajęcia odwołali, bo wojna.
- Jaka wojna, gdzie ty tu widzisz wojnę?
- W telewizji generał mówił.... sama słyszałam.
- A niech se pogada.... najważniejsze, że do woja nie idę! - ryknął brat.

Rzeczywiście, właśnie zbliżał się termin zakończenia przedłużonej służby wojskowej, co miało oznaczać, że do koszar pójdą młodzi.

- Taki pewny jesteś? W czasie wojny zawsze jest powszechna mobilizacja.... - przypomniałam sobie fakty historyczne.

Tym razem brat był lepszy.

- Przed wojną, a nie w trakcie. W trzydziestym dziewiątym ogłoszono ją dzień przed wybuchem wojny. Teraz nikt młodego żołnierza pod broń nie powoła. Starzy będą nadal w wojsku.

Trudno było odmówić bratu logiki. Nie miał on zielonego pojęcia o jakiegokolwiek służbie wojskowej. Strzelał jedynie na strzelnicy w wesołym miasteczku. Ja, jako absolwentka liceum, miałam więcej doświadczenia w tym zakresie. Podczas zajęć przysposobienia obronnego na prawdziwej strzelnicy waliłam w tarczę z kbks.

Nie wiem, czy to zmęczenie wypychaniem autobusu z zasy, czy zbyt radosny nastrój w kawiarni sprawił, że jakoś nie chciało mi się dłużej siedzieć z kumplami. Poszłam do domu.

Tu zastałam inny obrazek. Wystraszeni rodzice siedzieli w pokoju przed telewizorem. Pili herbatę z cukrem.

- Jak dobrze, że jesteś. Martwiliśmy się – przywitała mnie mama.

Tato był bardziej konkretny:

- I jak w Białymstoku? Są ruscy?
- Nie ma. Nigdzie ich nie ma. W Rutkach też nie ma.
- W Rutkach? A co ty robiłaś w Rutkach?

Opowiedziałam historię toczenia się przez wsie Podlasia.

- A u nas na ulicach widziałaś coś? - dopytywała mama.

Wzruszyłam ramionami.

- Nic. Cisza. Śniegu dużo napadało. W knajpie brata widziałam.
- Ponoć dużo ludzi aresztowano.... - kontynuowała mama. - Ciekawe, kogo ze znajomych....
- Na pewno nikogo z tych, co chodzą do knajpy... Tam panuje nastój zabawy.... Cieszą się, że nie pójdą do wojska.... - mruknęłam pod nosem.

Tato miał inną teorię.

- Partyzantkę założą.

- Teraz? Zimą? - nie dowierzała mama.

Ojciec brnął dalej:

- Zimą też w lasach siedzieli. W ziemiankach.
- Ale wykopywali je jesienią.
- Albo wiosną. Do wiosny nie tak daleko.

Jasne, mamy grudzień, w marcu mrozy puszcza, można kopać.

Zamilkliśmy.

Telewizor nieustannie mówił o zakazach i nakazach obowiązujących w czasie stany wojennego.

Ogłoszono godzinę policyjną, znaczy się milicyjną. Zjawisko znane z filmów wojennych.

Wyłączono telefony. W sumie w kraju nie były w masowym użytku, zatem niewielu cierpiało. My tak. My mieliśmy.

Zakazano wyjazdów bez specjalnego zezwolenia. W sumie nigdzie się nie wybieraliśmy. Drogi zasypane. Komunikacja ograniczona.

Przestały ukazywać się gazety. Drukowano jedynie „Trybunę Ludu” i „Żołnierza Wolności”. Nam najbardziej żal było prasy sportowej.

Po mieście miały krążyć specjalne patrole legitymujące przechodniów.... Pierwszego dnia nie widziałam żadnego. Ani w Łomży. Ani w Białymstoku.

Wieczorem podano kolejną wiadomość – zawieszono zajęcia w szkołach i na uczelniach.

Rozpoczęłam przyspieszone ferie.

**1982**

## **Świniobicie**

I tak zagościł w Polsce stan wojenny. W sumie na prowincji chyba niewiele się działo, bo niewiele pamiętam. No, może oprócz sympatycznych chłopaków w mundurach, którzy patrolowali ulice. Chodzili, ciężko wzdychali, nie legitymowali. Żołnierze rocznika trzeciego.... pechowcy, którzy musieli odwalać służbę wojskową dłużej niż ustawa przewidywała.

Żal mi ich było. Czasami z koleżankami wychodziłyśmy z domów przed dziesiątą. Zaczepiałyśmy taki patrol prosząc, by odprowadził nas do domu, bo zaraz godzina policyjna i strach się bać.

Szliśmy z chłopakami od domu do domu. Nawet zapraszałyśmy do środka. Nie weszli. Stawali w korytarzu na parterze. Zdarzało się więc, że szykowałam gorącą herbatę i znosiłam im z trzeciego piętra na dół.

Jedna z moich znajomych poznała w ten sposób swego męża. Ja takiego szczęścia nie miałam.

Zajęcia w szkole odwieszono, żeby naród nie popadł w analfabetyzm. Wróciłam do normalnej pracy. Tato i brat również normalnie pracowali. Mama – trochę nienormalnie.

Otóż mama była przedstawicielką zawodu, który znikł w wyniku postępu technicznego. Była telefonistką na centrali międzymiastowej.

Starsi pamiętają, maślaki nie wiedzą, co to i jak się to je, łyżką czy widelcem.

Kiedyś, dla młodych – przed potopem – żeby dodzwonić się do kumpla z innego miasta, trzeba było telefonicznie zamówić rozmowę przez ową centralę. W każdym mieście był budynek urzędu telekomunikacji, a w nim olbrzymia sala wypełniona skrzynkami, zwanymi centralkami. Obejrząc je można teraz w muzeum albo na starych filmach. Wujek Google podpowie. Przed każdym z takich urządzeń siedziała pani i za pomocą kabli zakończonych taką sobie wtyczką łączyła taką Łomżę z taką Warszawą na przykład.

Żeby Łomżę połączyć z takim Wałbrzychem, telefonicznie oczywiście, trzeba było najpierw połączyć się ze stolicą, potem stolica łączyła z Wrocławiem, a na końcu Wrocław z Wałbrzychem. Czekanie na połączenie międzymiastowe czasami trwało kilka godzin.

Kiedy w Polsce w dzień ogłoszenia stanu wojennego, wyłączono telefony, mama miała więcej wolnego. Oczywiście chodziła do pracy, ale rzadko. Centralę zajęli żołnierze i panie były tylko do pomocy.

Zresztą, co tam, powiem prawdę. Mama nigdy nie mówiła co robi w pracy. Milczała, bo już wtedy obowiązywało ją RODO. Jako osoba łącząca rozmowy, musiała sprawdzać, czy nastąpiło połączenie, czyli czy ludzie rozmawiają ze sobą, jaka jest słyszalność, bo z tym były kłopoty, czy nadal prowadzony jest dialog po obu stronach kabla. Znaczący się była konieczność podsłuchiwania. Podpisując umowę o pracę, mama podpisała również „lojalkę”, w której zobowiązała się do utrzymywania w tajemnicy wszystkiego, co z pracą się wiąże.

Prawdopodobnie w czasie stanu wojennego też jakąś „lojalkę” podpisała. Taka centrala międzymiastowa była wówczas niezwykle ważnym ośrodkiem władzy. Za jej pośrednictwem można było połączyć się z całym światem.

Była jednym z pierwszych obiektów zajętych przez wojsko w noc z 12 na 13 grudnia. Po latach pełniące wówczas nocny dyżur telefonistki wspominały akcję przesłuchiwania wojskowych przez wysoki płot z lekkim uśmiechem.

Oczywiście, kiedy skakali i wkraczali, nie było im do śmiechu. Telefonistkom oczywiście.

Wracajmy do naszej spokojnej rodziny....

To właśnie mama pewnego wieczora zarządziła rodzinną burzę mózgów.

- Byłam dziś w piwnicy – zakomunikowała.
- No i co? - zapytaliśmy zwyczajnie.
- Soki są, dżemów też wystarczy. Przecier pomidorowy jest. Ogórków konserwowanych i kiszonych nie zabraknie do lata. Kartofli również wystarczy. Skończyła się kapusta kiszona.

Wielbiciel kapuśniaku, czyli ojciec, ciężko westchnął. Mama jednak go uspokoiła.

- Kiszonej jest dużo w sklepie i na rynku. Można bez problemu kupić.

Tato uspokoił się.

- Mięsa brakuje.

Wszyscy podnieśliśmy głowy i spojrzeliśmy z niedowierzaniem na mamę.

- Jak to brakuje? - pytały nasze usta, oczy i kubki smakowe.

Mama rozłożyła ręce:

- Normalnie. Żarliśmy za dużo mięsa i zostało zjedzone. Policzyłam, że razem z tym, co zostało na kartkach starczy na dwa, no może trzy tygodnie.

To była straszna wiadomość. Należeliśmy do ssaków mięsożernych. Wegetarianizm nie był w modzie. Brak zwierzęcego białka w lodówce spowodował atak paniki. Co robić?

- Świnie trzeba kupić – oznajmił głosem głowy domu tato.

Jako że czasy były wówczas dziwne, ponownie muszę coś młodym wyjaśnić.

Od początku mego pobytu w Łomży podstawowym źródłem zaopatrywania gospodarstwa domowe w mięso były bezpośrednio gospodarstwa rolne z okolicznych wsi. Takich czterech „miastowych” wyszukiwało na wsi rolnika lub chłopo-robotnika, który sprzedał jedną sztukę trzody chlewnej. Na wsi dokonywano rytuału zabicia, dzielono martwą trzodę na cztery części i każdy z miastowych zabierał swoją do domu. Ubój był legalny, ale już sprzedaż już nie. Właściciel świnie, jeśli ktoś go o coś pytał, twierdził, że to na własny użytek. A to, że pięcioosobowa rodzina w ciągu miesiąca potrafiła zjeść dwie ponad stukilowe świnie, nikogo nie obchodziło.

Właściwie to wszyscy wiedzieli, o co chodzi i nikt nikomu nie przeszkadzał. Kupowali wszyscy, jedli wszyscy. Oczywiście mięso było droższe niż sklepowe, ale były to czasy, kiedy każdy pieniądze jakoś skądś miał.

W momencie wprowadzenia kartek na mięso, w większości rodzin, nadal kupowano tuczniaki w ilości jeden na czterech. Kartki były tylko dodatkiem.

W momencie wprowadzenia stanu wojennego – ubój był całkowicie nielegalny. Nawet ubicie trzody na własny użytek wymagało specjalnego zezwolenia władz wojskowych.

- Jak kupić? - zadałam zatem pytanie, które miało swoje historyczne i historyczne

uzasadnienie.

W pokoju zaległa cisza. Taka paniczna cisza. Brak schabowego pobudzał poprzez żołądek cały organizm do paniki. Zaczęliśmy myśleć.

- Trzeba dyskretnie popytać znajomych, czy ktoś nie wie o jakiejś wolnej świni do zabicia. Na wsi ludzie też forsę potrzebują – zaproponował ojciec.

Propozycja została przyjęta przez aklamację. Zgłosiłam się pierwsza:

- Zapytam jutro w szkole. Tam jest przecież kilka wsi.
- Ja w pracy też popytam. Jutro na zmianie mam fajnych ludzi ze wsi ...X – dodał ojciec.

Brat również obiecał przeprowadzenie wywiadu środowiskowego na temat wieprza, wszak może to być również osobnik płci męskiej. Byleby schab posiadał.

Mama rozłożyła ręce:

- No ja tego porucznika, co siedzi na centrali pytać o karkówkę nie mogę.

Machnęliśmy ręką. Mama wskutek obecności na centrali przedstawicieli władz wojskowych została zwolniona z poszukiwania jedzenia.

Ja dowiedziałam się, że w okolicy będzie wolna świnia do nielegalnego uboju, ale za jakiś miesiąc, półtora. Musi się jeszcze tuczyć. Druga, która miała być pozbawiona życia za tydzień, została już podzielona między czterech „miastowych”.

Brat, pracujący wśród młodych chłopaków, wiadomości żadnych nie przyniósł. Wszyscy jedli pieczeń i kotlety, ale zupełnie nie mieli pojęcia, skąd rodzice owe mięso biorą.

Tym razem triumf był po stronie ojca. Wkroczył do domu z przysłowiowym bananem na ustach:

- Jest! Brat kolegi będzie w niedzielę bił! (znaczy się zabijał)
- Którego kolegi? - zapytaliśmy radośnie.
- Jurka!

Kolega Jurek stał się prawdziwym wybawcą naszej rodziny.

- Ale wiecie, co jest najlepsze? To nie będzie „ćwiartka” , to będzie „połówka”!

W mieszkaniu zapanował nastrój euforii. „Połówka” świni zapewniała nam jedzenie prawie na pół roku!

Rozpoczęły się formalności związane z ubojem trzody, bo ten akurat ubój miał być zupełnie legalny.

Po pierwsze to zezwolenie na zabicie i podarowanie ofiary bratu z miasta. Oczywiście, że ja pisałam. W obu rodzinach nikt lepiej bajerów nie tworzył niż ja, miało się tę piątkę z polskiego.

Opisałam zatem ciężką sytuację brata w mieście, znaczy się kolegi Jurka. Wymieniłam przypadłości chorobowe w postaci grypy, przeziębienia, a nawet serca. Wszystko zgodnie z prawdą, gdyby władze wojskowe chciały inwigilować karty chorych u lekarza rejonowego.

Oczywiście, że podkreśliłam wagę odpowiedniego żywienia w zachowaniu zdrowia. Od przeziębienia do gruźlicy to już tylko jeden krok.

Potem wskazałam groźne warunki pogodowe. Kto to wiedział, żeby w styczniu było minus piętnaście? A do pracy trzeba chodzić. Część zakładów pracy została zmilitaryzowana i słowo dyrektora było rozkazem.

Dzieci też muszą mieć siłę, żeby chodzić do szkoły. I to nie do jakiejś tam podstawówki, materiału której można bez problemu nauczyć się w domu. Do szkół średnich dzieci chodzą. Zawody zdobywają. Matury będą wiosną zdawać. A jak nie doczekają? Jaś nie doczekał...

Właściwie sama już nie pamiętam, co napisałam w piśmie do jakiegoś urzędu prosząc o zezwolenie na zabicie wieprza, którego brat ze wsi mógł podarować za darmo, z litości, bratu z miasta.

Oczywiście, że teoretycznie za darmo. Charytatywnie. O forsie nie było mowy.

Odpowiedź, pozytywna oczywiście, nadeszła szybko.

Kolejne zadanie to prośba o zezwolenie na wyjazd do sąsiedniej gminy i przywóz tuszy wieprzowej. Mimo iż wieś brata kolegi Jurka znajdowała się dwadzieścia kilometrów od miasta, zezwolenie być musiało. To już wówczas była granica. A na rogatekach, zdarzało się, siedzieli w samochodach krytych plandekę zmarznięci żołnierze. Ciężki, ciepły sprzęt w postaci czołgów i wozów opancerzonych do nas jakoś nie trafił. Zatem zmarznięty żołnierz z ostrą amunicją mógł być na posterunku nieobliczalny.

Czasami po prostu nie chciało mu się wylaźnić z tzw. „gazika”, ale jak już wylaźił, to dawał popalić. Czepiał się byle czego.

W sumie to tylko tak słyszałam.

Wróćmy do legalnego uboju.

Skoro była na niego zgoda, nie było powodu, by odmawiać zezwolenia na wyjazd i przewóz. Ale nie mogło się obyć bez problemu.

Zezwolenie na przywóz opisywało trasę, która ubita zwierzyna miała pokonać, czyli od konkretnego gospodarstwa rolnego, znaczy się brata kolegi Jurka, do konkretnego domostwa w mieście, czyli domu kolegi Jurka.

A od domu kolegi Jurka do naszego M3 jest jeszcze około dwóch kilometrów. I to przez centrum.

Jak na tej trasie przemycić świnie, przepraszam – już tylko połowę świni?

- To może młodzież by się wreszcie czymś wykazała! - ryknął zdenerwowany ojciec, któremu nic nie przychodziło do głowy w powyższej sprawie.
- No dobra, dobra, pomyślimy i wymyślimy – odburknął brat.

Mrugnął do mnie porozumiewawczo. Wszystko zgodnie z zasadą „bez pół litra nie razbierosz”.

Poszedł do piwnicy po ogórki w słoiku. Ja wyciągnęłam skitraną między Historią Literatury



Niepodległej Polski Chrzanowskiego a Dziejami Literatury Polskiej Krzyżanowskiego butelkę cennego procentowego napoju na kartki. Do połowy pustą co prawda, ale druga połowa była pełna. Usiedliśmy w moim pokoju i rozpoczęliśmy proces myślenia. Tato koniecznie chciał się dołączyć, ale nie zezwoliliśmy. Pomysł ma być nasz. Wódka też jest nasza i rodziców rozpijać nie będziemy. I w końcu, jak każdego Polaka po gorzale, tak i nas olśniło.

Przetransportujemy. Przewieziemy. Będą schabowe. Będzie smalec i skwarki.

Nadszedł dzień 0.

Właściwie dzień W, bo był to wieprz o wadze 120 kilo.

Typ zdecydowanie mięsny, jak na kraj wysoko rozwinięty przystało.

Rano ojciec wraz z kolegą Jurkiem pojechali na wieś do brata kolegi Jurka, by asystować przy biciu, znaczy się uboju, wieprza.

Po wykonaniu czynności katowskim, odpłynięciu krwi nastąpiło uregulowanie finansowe z zabójcą. Wszak za darmo też nie zabijał.

Następnie wieprza podzielono na pół i zrobiona z niego tzw. półtusze. Obie starannie zapakowano w szary papier, zdobyczną folię, żeby nic już nie kapalo i nie zabrudziło auta kolegi Jurka.

(Dziwne czasy, no nie? Dziś folii dostatek, a wtedy musiała być z jakiegoś demobilu).

Potem nastąpił uroczysty moment wręczenia gotówki i wypicia „strzemienego”, wszak auto też ma konie w silniku. Wypił tylko mój tato, kolega był kierowcą.

Wszyscy byli zadowoleni.

Młodzież, czyli my, do akcji wkroczyliśmy po powrocie ojca do domu. Mama już naostrzyła noże, przygotowała pojemniki, zdobyczną folię i wiadro z saletrą do peklowania przyszłych wędzonek.

Uprzedzam pytanie – nie, kiełbas nie robiliśmy, kaszanki i salcesonu też nie. Robiła to żona kolegi Jurka, zatem oddaliśmy jej swoją część krwi i połowę łąba. Dorzuciliśmy kaszę na kartki. Obiecała, że jak zrobi te salcesony i kaszanki to nam da. Nie, nie połowę. Jedną trzecią. Robota też kosztuje.

- Już jest na miejscu – zakomunikował tato wchodząc do domu – To teraz wy małolaty do roboty.

Brat wyciągnął z balkonu sanki, które od wielu lat kurzyły się w piwnicy. Służyły nam wiernie w latach późnego dzieciństwa i wczesnej młodości. Teraz zostały wymyte, płozy naostrzone. Brat poświęcił im cały poprzedni wieczór.

Wzięliśmy ze sobą stare prześcieradło, dwa równie stare koce, które latem robiły za koce plażowe. Dorzuciliśmy poduszkę typu „jasiek”. Nie była stara. Po prostu była taka konieczność.

Ubrałam się i zeszłam do sąsiadów.

- Już można ubierać małą – szepnęłam przez uchylone drzwi.

Sąsiadka przytaknęła.

Z trzeciego piętra schodziłam powoli z czteroletnią Basią. Przed blokiem czekał brat z sankami. Żeby małą trochę oswoić z sytuacją, najpierw pobawiliśmy się w rzucanie śnieżek. Kiedy była już zmęczona bieganiem za nami, zaproponowaliśmy jej przejażdżkę sankami.

Kochani, pokażcie mi dziecko, które odmówi takiej przyjemności!

Ruszyliśmy w stronę domu kolegi Jurka.

Fajnie się ciągnęło sanki. Basia piszczała z zachwytu. Ludzie przechodzący obok nas uśmiechali się. Szedł nawet jakiś patrol, ale też tylko się uśmiechnął i nie legitymował.

Dotarliśmy do kolegi Jurka.

Na podwórku jego domu ja bawiłam się z Basią w rzucanie śnieżkami do drzwi garażu, a brat wraz z kolegą ojca układali na sankach sześćdziesiąt kilo jedzenia. Sprawdzali kilkakrotnie, czy coś dołem nie przecieka i nie zostawia śladów na śniegu.

Tłumaczenie takiemu patrolowi na przykład, że czteroletnia dziewczyna siedząca na sankach ma okres, nie miałoby żadnego sensu. Nawet w dziwnych czasach.

Na mięso położyliśmy koce, na nie poduszkę, a na poduszce posadziliśmy Basię.

- Wracamy do domku Basieńko – uspokołam małą, bo coś zaczęła marudzić.
- No, powodzenia. Obyście nikogo nie spotkali – pożegnał nas kolega Jurek.

Nie jestem pewna, czy jego żona nie zrobiła znaku krzyża w naszą stronę.

Droga powrotna była trudniejsza. Co innego ciągnąć na sankach Basię, co innego Basię wraz z połową trzody chlewnej. Do tego ciążyła nam świadomość, że robimy rzecz nielegalną. Obciążeni fizycznie i psychicznie powoli brnęliśmy w stronę bloku.

Udało się bez żadnych spotkań.

Brat został na dole, ja odprowadziłam Basię i poszłam do mieszkania.

- Jest.

Rodzice odetchnęli. Czekał nas jeszcze jeden etap.

Przeniesienie świni spod bloku do mieszkania na trzecim piętrze. Tu groziło nam kolejne niebezpieczeństwo. Mimo iż mieszkaliśmy już kilka lat, nie mieliśmy do większości sąsiadów zaufania. (Rodzice Basi byli chwalebny wyjątkiem. Wypożyczali dziecko każdemu). A w czasie stanu wojennego nie wiadomo było zupełnie, kto jest kim.

Niedawno ujrzelśmy sąsiada w wojskowym mundurze. Nigdy w takim nie chodził. Potem się

okazało, że przymusowo go zmilitaryzowano i musiał tak chodzić ubranym do pracy.

Inny sąsiad, który poprzednio biegał na manifestacje pierwszomajowe i krzyczał „Program partii – programem narodu”, teraz zaczął nałogowo biegać do kościoła i wrzeszczał, że Bóg nas wszystkich pokarze.

Jeszcze innym nawet zagroził memu ojcu, że mu mieszkanie podpali, jak nie zapisze się do „Solidarności”. Ojciec oczywiście się nie zapisał, na złość sąsiadowi, mieszkania nikt nie podpalił, ale cykor był.

Przy przenoszeniu „połówki” rozstawiliśmy się na korytarzu. Ja stanęłam na półpiętrze między parterem a pierwszym piętrem. Mama – między pierwszym a drugim. Uznaliśmy, że między drugim a trzecim będzie najbezpieczniej.

Podejrzani mieszkali niżej.

Ojciec z bratem taszczyli tucznika. Kiedy mnie minęli pobiegłam po narzędzie przestępstwa czyli sanki.

Mieszkanie zamknęliśmy na zasuwę, zamek dolny i łańcuch.

Czuliśmy się jak ten Kozakiewicz w Moskwie!

O, takiego wała!

Mamy żarcie!

Możecie nam naskoczyć!

Połowa martwej świni leżała w dużym pokoju na stole. Teraz do akcji wkroczyła mama.

Sprawnymi ruchami dłoni oddzielała poszczególne części.

Oczywiście, że mieliśmy ochotę na świeżonkę, czyli smażone na patelni z dodatkiem cebuli kawałki z różnych części naszego zwierzęcia.

– Nie, świeżonka będzie jutro. Jak się mięso zbada – ostudziła zapaly wszystkich mama. Rzeczywiście, ubój był legalny to legalnie trzeba zawieźć kawałek mięsa do weterynarza, by sprawdził, czy nie ma włośnicy. Oczywiście zrobi to kolega Jurek, wszak on otrzymał w prezencie od brata całą świnię.

Wtedy też odpowiednia porcja mięsiwa trafiła do rodziców Basi. Młoda zarobiła na schabowe.

I cóż, tak kończy się ta historia.... Włośnicy nie było. Była szynka, boczek, schabowe, pieczeniowe,

mielone i masa smalcu, z którego moja mama wyczarowywała pyszne szarlotki...

Potem chyba reżim świnio bicia ustał, bo już podobnej akcji przeciwko dyktaturze WRON nie przeprowadzaliśmy.

Historia przypominała się nam po latach. Już w dwudziestym pierwszym wieku jeden z historyków z okazji rocznicy powołania stanu wojennego opisywał ówczesną rzeczywistość, w oparciu oczywiście o dostępne dokumenty. Stwierdził, iż rolnicy nie chcieli oddawać „państwu” świń i oddawali je bezpłatnie rodzinom z miast, w których panowała bieda.

Choroba, trafił na mój tekst....

Również po latach dowiedziałam się, że po ogłoszeniu stanu wojennego, jako nauczyciel języka polskiego byłam na specjalnym szkoleniu, podczas którego uczono mnie jak mam uczyć dzieci w związku z tym stanem oczywiście. Bo tacy jak ja byli. Dokumenty o tym mówią.

Może i ktoś tam był. Może i jakieś szkolenie było.... Do mnie, nauczycielki małej wiejskiej szkółki, nic takiego nie dotarło.

Bo dziwne to były czasy....

**1989**

### **Ostatnie takie wczasy**

Ten rok wspominam z obowiązku, bo są tacy, co twierdzą, że był ważny w najnowszej historii naszego kraju. Może i był, może i nie.... ja tam swoje wiem.

Najpierw najważniejsi usiedli do okrągłego stołu, i jak za króla Artura w Anglii, obradowali. Nie powiem, podobało mi się to. Znajomym też. Jeden powiedział „To taka Ameryka w Warszawie”. Co to miało oznaczać, nie kumałam nigdy, ale wielkim zachodem powiało.

Kiedy już najważniejsi pogadali, podpisali, odbyły się wybory zwane „częściowo wolnymi”. Nie, nie ze względu na czas czy sposób poruszania się wybierających i wybieranych. Po prostu część wyborów była po socjalistycznemu, część po kapitalistycznemu. I darujmy sobie opisywanie owych części. W 1989 roku mało kto wiedział o co chodzi, dziś toczą się na ten temat historyczne debaty. W każdym razie lud się cieszył.

Ja mniej. Byłam już wówczas samotną matką, a te nigdy nie cieszyły się poparciem społeczeństwa.

Nie wiem skąd wzięła się opinia, iż wszyscy, czyli tzw. państwo, tzw. kościół i tzw. społeczeństwo pomaga kobietom bez męża.

Słowem znikąd pomocy. Rodzice już nie żyli.

Udało mi się jednak latem tego roku pojechać na ostatnie wczasy w ramach zjawiska socjalistycznego zwanego Fundusz Wczasów Pracowniczych.

Na takie wczasy moja rodzina jeździła bardzo często w czasach, kiedy byłam małym dzieckiem. A jak czytaliście bogaczami ani ludźmi na stanowiskach moi starzy nie byli. Informuję więc, że obalam teorię mówiącą, iż na owe wczasy jeździli wybrańcy z PZPR.

Podobnie było z koloniami. Kiedy dorosłam do wieku szkolnego, rodzice wysłali mnie na kolnie, pokochałam tę formę wypoczynku i jeździłam każdego roku.

Ówczesne wczasy i kolnie dziś pewnie uznane byłyby za wypoczynek typu surwiwalowego. W domach wczasowych wspólne łazienki i toalety. Na koloniach pokoje ośmioosobowe i łóżka typu „kanadyjka”. Jeśli były namioty, to duże, dziesięcioosobowe, obok toalety typu „sławojka” i umywalka z zimną wodą. Prysznic z ciepłą za kotarą. Aha, były jeszcze domki zwane kempingowymi. Oczywiście, że bez wodociągu i kanalizacji. Człowiek szedł wieczorem do takiej łazienki, wymył się i zdążył ostro pobrudzić wracając do miejsca zakwaterowania. Zwłaszcza jak był dzieckiem.

Słowem surwiwal pełną gębą. Dziś takie numery by nie przeszły.

Tak więc pojechałam latem 1989 roku na ostatnie wczasy. Jako uboga, przebywająca na urlopie wychowawczym, matka zapłaciłam jedynie 10% wartości skierowania. Taka bowiem była idea FWP – opłata zależała od wysokości zarobków.

Tym razem wylądowałam nad jeziorem. Domem wypoczynkowym okazał się internat dla młodzieży szkół średnich. Stary, przedwojenny budynek prosił o remont. Obdrapana elewacja, sypiąc się na korytarzach lamperia, ściany koloru brudnoszarego z plamami po sosie pomidorowym. Na piętrze jedna ubikacja, koedukacyjna.

Okna w pokoju myte chyba na Wielkanoc. Chodnik na podłodze z dziurkami charakterystycznymi dla żaru z papierosów. Na szczęście pościel w pokoju czysta i żadnych śladów insektów w szafie. Ale kto by się przejmował takimi drobiazgi. Ważne, że do jeziora tylko piętnaście minut spacerkiem. Byleby pogoda była ładna.

Zamierzałam więc odpoczywać, opalać się czyli łąpać witaminę D3, poznawać nowych ludzi, czasami podyskutować, może skorzystać z jakiś rozrywek.... Jakże przygotuje kaowiec (skrót od KO – kulturalno-oświatowy – postać organizująca życie kulturalne w czasie trwania turnusu)?

Okazało się, że kaowca nie ma. Uznano, iż taka postać to relikty minionej epoki. Jest kierownik. Ten zaś okazał się zwolennikiem nowego ustroju i o każdej porze dnia namawiał do stawiania oporu dawnej władzy. Polityka łąła się z jego ust przy każdym „dzień dobry”, a na pytanie co słyhać, cytował rozgłosnię „Wolna Europa” i „Głos Ameryki”, te, których moja rodzina nie słyhała z powodu braku w domy porządnego radia.

Kierownik uznał również, że telewizja kłamie i serwował filmy na video, które szturmem zawładnęło polskim rynkiem filmowym. Dzieci zapraszał na przygody „Bolka i Lolka”, a dorosłych na filmy erotyczne. Z dumą włączał kasety VHS podkreślając, że nową technologię zawdzięczamy nowemu ustrojowi.

Kiedys zorganizował potańcówkę. Taki wieczorek zapoznawczy. Na stoły postawił szklanki i parę butelek taniego wina. Włączył magnetofon szpulowy i kazał się bawić.

Nie, to już nie był standard FWP. Ja co prawda na takie wieczorki w dawnych czasach nie chodziłam, ale pamiętam jak uczestniczyli w nich moi rodzice. Były to dancingi w najlepszym tego słowa znaczeniu. Z zespołem na żywo, masą żarcia i procentami w płynie.

Tym razem było po nowemu, czyli chceta się bawić, to się bawta. Chceta pić i jeść, to se kupta.

Wczasowicze wnerwili się. Zwołali na stołówce zebranie i powiedzieli, co o nim sądzą.

- Panie, zamiast wydawać forszę na pornografię, należałoby kupić nowe zawory do pryszniców, bo na pierwszym pięttrze z trzech sprawny jest tylko jeden! A ludzi całe piętro!
- To nie jest możliwe. Pieniądze na filmy pochodzą z funduszu kulturano – oświatowego. Na prysznice mogę wydać jedynie z funduszu remontowego – wyjaśnił szef domu wypoczynkowego.
- No to wydaj pan! Ludzie chcą się kąpać!
- Nie mogę. Państwa wczasasy nie mają funduszu remontowego. Pozostałość po PRL-u taka...
- A dlaczego toalety nie są regularnie sprzątane?
- Bo sprzątaczką jest tylko jedna, nie daje rady... państwo tak często korzystają z toalety, że kobieta nie nadąza. Proszę jej wybaczyć. Zniszczyła życie na walce z socjalizmem – kontynuował tłumaczenie.
- Wczoraj nie było deseru!
- Bo mleko się skwasiło i nie było na czym budyniu ugotować. Nie mamy takiego mleka jak

na zachodzie, że zachowuje świeżość przez kilka dni.

- A przedwczoraj zabrakło na stołówce chleba!
- Bo niedziela była. Nie można było nigdzie kupić, a państwo w sobotę dużo zjedli. Gdyby państwo jedli mniej, nie byłoby kłopotu. Już niedługo wszystkie sklepy będą w niedzielę otwarte. Nowy ustrój to sprawi.

Niestety, tłum wczasowiczów nie zrozumiał nowego ustroju i odparł tłumaczenia wrzaskiem i uderzeniami w stoły.

Kierownik, w obawie przed linczem uciekł do swego gabinetu. Nie pokazywał się przez dwa dni. W tym czasie organizował wycieczkę autokarową po najbliższej okolicy.

W upalny dzień przed gmach zacnego internatu przerobionego na sezonowy dom wczasowy zajęły dwa autokary. Pierwszy marki „Autosan”, elegancki, miękkie siedzenia, wysokie oparcia. Drugi „Jelcz” typu „ogórek – skóropodobne obszarpane siedzenia, metalowe uchwyty po bokach, żeby stojący mógł się przytrzymać.

Naród rzucił się do pierwszego. Wiadomo, nie zmieścił się cały. Ale do drugiego nie chciał wchodzić.

- Nie będziemy jeździć takim gratem! Żądamy dobrego autokaru! - wrzeszczał pod oknem kierownika – Strajkujemy! Nie jedziemy!

Tak się złożyło, że trafiłam z dziećmi do pierwszego pojazdu. Tu ludzie byli spokojni i równie spokojnie patrzyli przez okna na pikietę przed budynkiem. Do czasu.

W pewnym momencie od protestujących oderwał się przywódca. Stał w drzwiach naszego „Autosana” i wrzasnął:

- Wsiadajcie! Strajkujemy wszyscy! Nikt nie jedzie!

O nie, lud siedzący ani myślał o strajku i opuszczeniu autokaru. Tu też znalazł się wódz. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna krzyknął do kierowcy:

- Ruszaj pan, bo panu auto uszkodzą!

Kierowca przekreślił kluczyk, silnik wydał pierwszy dźwięk. Powoli ruszyliśmy pozostawiając strajk strajkującym.

Wycieczka się udała. Dzieciaki były zadowolone. My też.

Po powrocie zostaliśmy wyzwani przez tych, co zostali, od łamistrajków, ubeków, komuchów i wszystkich pozostałych reliktyw PRL-u.

Tak oto rozpoczęła się wolność, czyli jeden wielki bajzel.

## Epilog

2019

I tak powoli, pokonując po drodze góry i pagórki, dotarłam do wieku senioralnego, znaczy się czasów, w których życie wróciło do normalności.

Rodzice odeszli do lepszego świata. Brat poszedł w swoją stronę. Dzieci się wyprowadziły, wprowadził się pies. Emerytura niska, jak na początku pracy, czyli brak forsy. Politycznie też normalka. Kiedyś była jedna matka partia, teraz każda rządząca partia ten schemat powiela.

Oczywiście jest zawsze jakiś guru, czyli przywódca, za którego większość w parlamencie oddałoby życie.

Telewizja nadal kłamie. Obecnie w większym wydaniu, bo telewizji multum, znaczy się wiele. W swoim telewizorze mam ich ponad dwieście. Gdybym znała arabski, mogłabym oglądać Al-Jazeera w oryginale.

No i ciągle jeżdżę do Wałbrzycha.

Właśnie wróciłam z zimowego pobytu. Przejrzałam plik reklam i korespondencji. Znalazłam powiadomienie o przesyłce poleconej.

Nie, nie. Żaden rachunek. Rachunki to teraz internetem przychodzą. Oszczędność papieru. Ekologia taka. Chociaż co do tego mam wątpliwości. Nie posiadam przecież laptopa na energię odnawialną, znaczy się słońce. Mój laptop pobiera energię z gniazdka w ścianie.

Dobra, odpuśćmy sobie, bo mnie poniesie i zamiast o wielkich wydarzeniach historii, będzie o rybkach i roślinkach.

Wzięłam więc psa na smycz i poszłam na pocztę. List odebrałam. Urzędowy był. Zerknęłam na nadawcę.

Nie, jeszcze raz zerknę, na zewnątrz. Światło dzienne wyraźniejsze.

Stałam przy uwiązonym przy drzewie psie. Nie, niemożliwe.

Okularów nie mam.

Pewnie źle widzę.

Odsuwam kopertę na bezpieczną odległość, znaczy się długość rąk. Wzrok niby się poprawia, ale lewy górny napis ciągle ten sam.

IPN.

Instytut Pamięci Narodowej.

Czego ode mnie chce IPN?

Z czym w ogóle w tym państwie przeciętnemu emerytowi kojarzy się IPN?



Z poszukiwaniem „haków” na ważne osoby w państwie, żeby ważnymi być przestały.

Z grzebaniem w białych rękawiczkach w starych dokumentach, żeby odnaleźć tych co.... no co mogą mieć cokolwiek na sumieniu.

Z pojęciem „polowanie na czarownice” nie średniowieczne i inkwizycyjne, ale takie w stylu amerykańskiego makkartyzmu z lat 50-tych minionego stulecia.

Z walką o władzę.

Z żądaniami finansowymi na grzebanie w dokumentach.

Ze zmianami w interpretacji historii i drukowaniem nowych podręczników szkolnych.

Z ukrywaniem niewygodnych faktów.

Jako że pies musiał załatwić potrzeby fizjologiczne, do domu wracałam okrężną drogą. Pod czaszką głębiło mi się tysiąc myśli.

Co na mnie ma IPN?

Gdzie i przy czym mnie namierzeli?

No tak, świnia z 1982! Nie, raczej nie. To była taka konspiracja wobec ówczesnego ustroju, który jest potępiany przez IPN.

Podróż pociągiem w czerwcu 1976 i bezczelne picie kawy, podczas kiedy robotnicy walczyli z systemem?

Tworzenie opowiadań w ramach wstąpienia do ZBoWiD-u? Prawdopodobne.... biję się w piersi. Fałszowałam historię.

Lata osiemdziesiąte.... Nie, to też nie .... wtedy to ja spokojnie wyszłam za mąż, urodziłam dzieci metodą naturalną i normalnie w sądzie rozwiodłam się.

Partia? Składki płaćłam jedynie przez czas pobytu w szkole, żeby tę matkę zdać.

Po powrocie do domu najpierw wyczyściłam okulary. Usiadłam na „narożniku”, żeby nie spaść z takiego na przykład krzesła. Otworzyłam kopertę. Wyjęłam pismo. Zaczęłam czytać.

Niemożliwe.

Jeszcze raz przeczyściłam okulary.

Przeczytałam raz jeszcze.

Odłożyłam list na stół.

Zadzwońłam do IPN-u z pytaniem, czy nie nastąpiła pomyłka. Nie nastąpiła. Fakt historyczny jest na pewno faktem autentycznym.

List leżał dwa dni, zanim zdecydowałam się poinformować potomstwo, że ich dziadek to bohater.

Tak, ten sam dziadek, który w 1968 roku skręcił z szosy do Wrocławia i balangował w lesie z kolegami.

Ten sam dziadek, który maszerował w poczcie sztandarowym ukochanego klubu sportowego podczas pochodu pierwszomajowego.

Ten sam dziadek, który zapisał się do ZBoWiD-u, żeby wcześniej iść na emeryturę

Ten sam dziadek, co przywiózł wieprza zimą w 1982.

Ten sam dziadek miał w swym życiorysie epizod, o którym nigdy w domu się nie mówiło.

O tym epizodzie poinformował mnie właśnie IPN.

W 1946 mój ojciec został aresztowany i skazany na dwa lata więzienia za działalność w organizacji Wolność i Niezawisłość.

W latach dziewięćdziesiątych, na mocy ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego, unieważniano wszystkie tego typu wyroki.

O mojego ojca nikt się nie upomniął.

Uczynił to dopiero IPN.

Bo grzebanie w białych rękawiczkach w starych aktach to również odszukiwanie akt, spraw i ludzi, o których nikt się nie pamięta lub nie wie.

Pracownicy IPN-u trafili na mego tatę. Uznali, że wyrok należy unieważnić. Odszukali spadkobierców czyli mnie. Powiadomili, że wystąpiono już do sądu o owe unieważnienie.

Szok.

Zdziwienie.

Niedowierzenie.

Rodzonym dzieciom nie byłam w stanie wyjaśnić, co takiego robił w organizacji ich dziadek, za co konkretnie został skazany.

Po prostu, najzwyczajniej w świecie o niczym nie wiedziałam.

To znaczy.... prawie o niczym.... ale tym się nigdy w dziwnych czasach w naszej rodzinie nikt nie chwalił....

Wśród wielu starych rodzinnych dokumentów, znajdowała się mała karteczka z napisem „Amnestia”. Wynikało z niej, że mój ojciec wyszedł z więzienia na mocy owej amnestii. W pamięci odkurzyłam rozmowy na ten temat. Jako dziecko zdarzyło mi się kilka razy zapytać:

- Tato, a za co siedziałeś w kiciu?
- Gównu to ciebie obchodzi – odpowiadał niepedagogicznie.
- A długo siedziałeś?
- Krótko.
- A dlaczego kiblowałeś?

Gdyby wówczas istniała odzywka „Nie interesuj się, bo kociej mordy dostaniesz”, pewnie bym ją usłyszała. Wówczas istniało zacytowane powyżej słowo na „g” i musiało wystarczyć.

Po kilkakrotnym usłyszeniu odpowiedzi bez odpowiedzi, dochodzenie zakończyłam. Wnioski nasuwały się same.

Tato siedział w kiciu za:

a/kradzież

b/pobicie

c/szaber (niezwykle modne słowo na tzw. Ziemiach Odzyskanych, zwłaszcza po nakręceniu filmu „Prawo i pięść”, bliskoznaczne do słowa „kradzież”, ale o innym znaczeniu).

Mogłam w tych możliwościach wybierać.

Znaczy się ojciec był pospolitym przestępcą, któremu udało się załapać w lutym 1947 roku na amnestię dla więźniów politycznych. Takie szczęście mogło się zdarzyć.

Tato popełnił w młodości błędy, do których nie warto i nie należy się nigdy i nikomu przyznawać. Tajemnicę zabrał do grobu.

Myślałam tak przez .... no nie, nie sześćdziesiąt, ale przynajmniej przez 53 lata swego życia, czyli od momentu, kiedy nauczyłam się czytać i odczytałam tajemniczą kartę amnestyjną.

IPN wyprowadził mnie z mojego błędu młodości.

Wkrótce nadeszło postanowienie z wydziału karnego sądu okręgowego o unieważnieniu wyroku. Owe unieważnienie otwierało mi drogę do odszkodowania. Tak, do pieniędzy. Jestem spadkobiercą. Ojciec zostawił po sobie spadek. W postaci działalności przeciwko ustrojowi socjalistycznemu panoszącemu się w 1946 roku po Polsce.

Aby go otrzymać, musiałam napisać pozew do sądu. Do wydziału karnego. Bo wydział karny kiedyś tatę skazał. Po latach ten sam wydział (tyle tylko, że sąd nazywał się inaczej i był w innym budynku), wyrok unieważnił. I ten sam wydział ma odszkodowanie zapłacić.

Przez dwa miesiące bujałam się z własną pamięcią i rodzinnymi dokumentami. Niestety, jeszcze nie jestem na etapie powrotu pełnej pamięci wstecznej i luki się pojawiały. Nie mniej jednak pewne rodzinne historie zaczęły się układać w całość.

Skąd ojciec wziął się w Wałbrzychu? Wraz z mamą i stryjcem zwiewali z Łomży. Dlaczego w Wałbrzychu? Bo było najdalej. W 1947 roku panował tu jeszcze totalny bajzel. Nie wiadomo było kto Niemiec, a kto z Niemiec polskiego pochodzenia.

Amnestia nie dawała gwarancji bezpieczeństwa.

Pozew do sądu wysłałam. Pismo do IPN-u o udostępnienie dokumentów związanych z ojcem też.

Czy wy też tak macie, że wchodzicie do gmachu sądu z duszą na ramieniu czyli mówiąc prościej – człowiek boi się, że ze strachu narobi w gacie i najpierw szuka toalety? Dopiero potem sali rozpraw. Po wyjściu z wiadomego WC usiadłam przed tą salą. Właśnie wyprowadzali faceta zakutego w kajdanki. Obok ochrona, policja, milicja i tym podobne typy jako obstawa. Rety, ja też mam tam

wejść? Skażą mnie! Wyprowadzą w kajdanach! Wsadzą w kibitkę i na Sybir!

Oto wpływ literatury romantycznej na magistra filologii polskiej! Znaczy się na mnie.

Ale wszystko jest zupełnie inaczej. Sędzia - przystojny i całkiem młody. Prokurator mniej ładny, ale też normalny. Żadnej ławy przysięgłych.

Sąd się pyta:

- Co pani wiadomo na temat działalności konspiracyjnej ojca?
- Nic. Nigdy nic nie mówił na ten temat.
- Co pani wiadomo na temat aresztowania ojca?
- Nic. Nigdy nic nie mówił na ten temat.

Choroba, no przecież nie powiem, że przez całe życie posądzalam go o szaber i rozboje. O deklaracji do ZBoWiD-u też nie wspomnę. Podejrzana organizacja.

- Czyli nic pani nie wie na temat ojca?
- Nic.

Dużo wiem, ale nie na ten temat. Długo będzie jeszcze mnie ten sąd męczył?

- A czy ktoś z rodziny wiedział?
- Nie wiem.
- Czy ojciec miał jakiś majątek w chwili aresztowania?
- Nie wiem.
- Czy chodził do szkoły lub pracował?
- Nie wiem.
- A skąd pani dowiedziała się o działalności ojca?
- Od IPN-u.
- Miała pani dostęp do akt?
- Po tej sprawie idę po nie.

Sąd oddycha. Prosi, by poszperać w dokumentach z IPN-u. Może tam znajdzie się coś sensownego.

I tak po raz pierwszy wkraczam w mury instytucji dotychczas źle mi się kojarzącej. A tu –

niespodzianka. Czysto, sympatycznie. Mili pracownicy. Skserowane akta już na mnie czekają.

Wręczająca je pani informuje, że oprócz dokumentów sądowych są inne, związane z moim tatą.

Słowem wszystko, co na jego temat IPN posiada.

Ponad sto stron.

Przesłuchania w UB.

Zeznania świadków.

Protokoły okazania.

Protokół z przekazania podejrzanego z aresztu UB do więzienia.

Akt oskarżenia.

Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Ludowej.

Pisma inwigilacyjne.

I wyjaśnienie całej historii. Część z niej już kiedyś słyszałam. Opisywałam historię przenoszenia meldunków wypełniając ojcu deklarację wstąpienia do ZBoWiD-u. Tylko chyba data wydarzeń przekazana wówczas przez niego była inna.... Póki co na razie pamięć mi nic w tym zakresie nie mówi...

Ojciec został złapany w momencie, kiedy był ochroną oddziału partyzanckiego WiN.

Jadę do miejscowości, w której nastąpiło aresztowanie. Bezpośredni świadkowie tamtych lat dawno nie żyją. Ich potomkowie nic nie wiedzą. Najstarsza mieszkanka wsi, lepiej ubrana niż ja, zasłania się sklerozą.

Mówię o tym kumplowi. Ten ma jasną odpowiedź:

„Moja stuletnia babcia, która przeżyła Syberię, zawsze głośno mówiła, że na dalekiej północy było super. Nie może powiedzieć inaczej, bo KGB słucha. Mówiłem jej, że KGB już nie ma. A ona na to, że Lenin zawsze żywy, a KGB inaczej się teraz nazywa. I tak do śmierci....”

Coś w tym jest .... jak zwykła mówić moja synowa.

Dzwonię do urzędu gminy w miejscowości, w której urodził się ojciec. Czy mają jakieś stare dokumenty z wojny lub przedwojnia? Chciałabym na przykład wiedzieć, w którym miejscu stał rodzinny dom rodziciela...

Nic z tego, urząd to nie muzeum.

Dobra, dzwonię do muzeum. Czy coś mają na dany temat? Poszukają. Nie znajdują. Proponują, by skontaktować się z większym muzeum, Taki muzeum wojska polskiego.

Najpierw dzwonię. Odbiera pani. Chyba ma zespół napięcia przedmiesiączkowego lub jest w okresie przekwitania. Wrzeszczy, że jej muzeum nie zajmuje się jakimiś regionalnymi głupotami tylko ważnymi wydarzeniami historycznymi.

Pozostało archiwum państwowe. Tu jest w miarę miło. Oczywiście mogę siedzieć i grzebać w

starych dokumentach. Ale jeśli chcę, by grzebali w nich pracownicy, to już muszę zapłacić.

Wygląda zatem na to, że w sierpniu 1946 roku bliżej nieokreślone grupy młodych ludzi biegały po lesie z rewolwerami w ręku...

Historia tamtego wydarzenia pozostała jedynie w dokumentach przechowywanych w budynku IPN. Stary papier przetrwał ponad siedemdziesiąt lat.

Kolejna sprawa w sądzie. Zgłosiłam świadka. Teraz ja jestem świadkiem, jak działa współczesna technika w służbie człowieka. Człowiek zeznaje w swoim sądzie 450 kilometrów dalej. Jest na ekranie wielkiego monitora. Nie widziałam go blisko czterdzieści lat. Potwierdza moją teorię o ucieczce mego ojca do Wałbrzycha, bo najdalej.

Sąd ma się zastanowić nad wyrokiem. Będzie coś, co nazywa się zadośćuczynieniem.

Nadal szukam śladów taty w przeszłości. Nic. Pusto. Totalna biała plama w historii. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o całej sprawie, napisać poważny artykuł do poważnej gazety. Jadę ponownie do IPN-u. Tym razem klops z mielonym. Jako prywatna osoba nie mam żadnego prawa do innych dokumentów niż tych, które już dostałam. RODO i koniec. Musi za mnie poręczyć gazeta, portal, telewizja, uczelnia....

Znajomy historyk mówi mi, że wszystkie wydarzenia po słynnym referendum z 30 czerwca 1946 roku są kontrowersyjne.

Wsuwając w restauracji zupę cebulową po francusku, a na drugie schabowego z kapustą po polsku, dochodzę do wniosku, że mój ojciec jest postacią kontrowersyjną.

Tak samo jak ja i wszystko, co wam tu opisałam.

Dobranoc.